NR 46 (1970) 17 LISTOPADA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Proj. Ksenia Kodymowska

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JESIEŃ średniowiecza

- SOLIDARNOŚĆ POD TRYBUNAŁEM I W TRYBUNALE
- KAROL KONTRA URSZULA

TYGOL.PL

prasa.pl/08cfe9dbca

REPUBLIKA

Rafał Patyra wraz z zespołem zapraszają codziennie na najszybsze w Polsce informacje ze świata polityki, kultury, sportu i rozrywki. Prawdziwy polski ekspres w Republice.

EXPRESS REPUBLIKI

CODZIENNIE 16:55



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl/08cfe8cbca



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Nie wiem, czy zmarły w 1948 r. holenderski historyk sztuki Johan Huizinga miał poczucie humoru. Jeżeli tak, to mam nadzieję, że ktoś życzliwy poinformował go w zaświatach, jak wielką karierę akurat w Polsce zrobiło jego hasło „Jesień średniowiecza", czyli tytuł najsłynniejszej książki Huizingi wydanej po raz pierwszy w 1919 roku, a po polsku w 1961 roku w kultowej serii „Rodowody cywilizacji".

W tamtej książce widzimy agonię i schyłek. To koniec starego średniowiecznego świata. Jest to bardzo efektowne widowisko, bo stare bynajmniej nie odchodzi w milczeniu. Przeciwnie. Jesień średniowiecza była czasem napięć oraz niepokojów. Wielkich słów, wybujałych deklaracji, a nawet ostrej makabry. Tamto rozedrganie niczego jednak nie zmieniło, bo i zmienić nie mogło. Stare w końcu odeszło, a w jego miejsce przyszło nowe.

Ale przecież u nas w Polsce na tej wyrafinowanej metaforze wielkiej historycznej zmiany kariera „jesieni średniowiecza" się nie kończy. U nas częścią naszej polskiej kultury popularnej jest przecież jeszcze dialog z „Pulp Fiction" o robieniu komuś z „d... jesieni średniowiecza" właśnie. Piękne i erudycyjne zapożyczenie ze skarbczyka literatury przypisywane polskiej tłumaczce list dialogowych do filmu Quentina Tarantino Elżbiecie Gałązce-Salamon, powtórzone potem w kultowej komedii „Chłopaki nie płaczą" i dalej w niezliczonej liczbie kontekstów.

Co znaczy zrobić komuś z d... jesień średniowiecza, tłumaczyć nie zamierzam, bo każdy wie, o co chodzi. Chciałbym tylko dodać, że w Polsce też mamy teraz jesień. Nie tylko kalendarzową. Trwa także jesień rządu Donalda Tuska i jesień polskiego premiera (oraz jego najbliższego otoczenia) jako profesjonalnych polityków. To, co ta ekipa wyczynia z polską demokracją, nie pozostawia wątpliwości, że i tu mamy do czynienia z jesienią. Jesienią panującego w Polsce ładu konstytucyjnego i ustroju politycznego. Przebieg tego procesu wytyczany jest rytmem kolejnych uderzeń władzy w opozycję parlamentarną i pozaparlamentarną. W niezależne od władzy media, niepokornych obywateli, w prezydenta, trybunały oraz sądy. Słowem we wszystkie instytucje życia społecznego, które nie chcą ugiąć karku przed wolą polskiego premiera oraz jego świty – domagających się już otwarcie dyktatorskiej w zasadzie wszechwładzy.

W Polsce też mamy teraz jesień. Nie tylko kalendarzową. Trwa także jesień rządu Donalda Tuska.

My zaś zachęcamy, żeby nie widzieć w tej jesieni absolutnego końca. Ta jesień to jest już w zasadzie oczywista zapowiedź nowego początku. Już po tej próbie ustanowienia w Polsce dyktatury z dykty.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 08cfe9cbca

17.11.2026
WYDANIE Nr
46

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Jesień (krypto)dyktatora



8 **Musimy obronić polską demokrację**

12 **Rekordowy marsz nadziei i gniewu**

16 **Zostaniemy tu jeszcze jedną zimę. Rozmowa z A. Borowskim**

20 **Polska jest ważniejsza, niż wam się wydaje. Rozmowa z I. Kamińską**

24 **Krytyka świętego spokoju**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Blok moim domem 26

KRAJ

Karol kontra Urszula 30

ZAGRANICA

Serbia – nowe otwarcie 36

Akredytacja prasowa Białego Domu: pewnik czy przywilej? 40

KULTURA

Chcę robić rzeczy, które mnie karmią. Rozmowa z N. Agape 44

Mocniej. Recenzja filmu „Crash: Niebezpieczne pożądanie” 48

SPOŁECZEŃSTWO

Wygrała w Strasburgu, ale nadal nie odzyskała syna 52

HISTORIA

Tu jest Strasse der Polizei, a nie sanatorium! 56

RELIGIA

Jak owce między wilki 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Nie wiemy, co przyniesie jutro. Rozmowa z K. Niedbałą 66

„Głos wolnej Polski”. Nowa wystawa w Sali BHP! 70

FELIETONY:

OKRASKA 7

MAŁKOWSKA 19

SKWIECIŃSKI 33

GAC 55

PŁUŻAŃSKI 63

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 34

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 51

KARUZELA Z BLOGERAMI 69

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności,
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327,
80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 08cfe9cbca



WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 08cfe9cbca

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność": ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 08cfe9cbca

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Żałoba po utracie świata, który znamy

Masakra w Krakowie żyje już własnym życiem i zaczęła służyć wielu społecznym celom. Lewica i prawica przerzucają się opiniami i podejrzeniami co do poglądów sprawcy strzelaniny. Sama sprawa służy przeciąganiu politycznej liny. Jak każda tragedia, ta także (chwilowo) zjednoczyła Polaków. Wprowadzono żałobę narodową, organizowane są marsze milczenia. W cieple zniczy grzeje się ten i ów. Spieramy się, czy policji było za dużo, czy za mało.

Tymczasem pierwszy odruch reakcji na takie wydarzenie to czysty zwierzęcy strach. Potem – szacunki i wsteczne obawy. „Miałem właśnie jechać do Krakowa", „Co by było, gdybym wyszedł z domu pół godziny wcześniej?", „Każdemu to mogło się przydarzyć". Tak, pierwotny strach przed faktem, że w takiej sytuacji nie liczymy się MY, że stajemy się po prostu ruchomą tarczą dla strzelca, jest dojmujący. Jest też całkowicie naturalny. To żałoba po utracie świata, jaki znamy – swojskiego, bezpiecznego. Po Polsce, w której „takie rzeczy po prostu się nie zdarzają".

Jak każda poważna sprawa ta także stanie się osią medialnego i społecznego sporu. O posiadanie broni (czy gdyby ofiary z Rynku w Krakowie posiadały broń, zginęłoby mniej czy więcej ludzi?), o pochodzenie i poglądy sprawcy masakry (wielu z zapartym tchem oczekiwało, czy nie okaże się niebiały), o rolę i reakcję służb oraz mediów. Niektórzy skupiają się na tym, że atakujący to mężczyzna i na implikacjach tego faktu (który jest oczywiście istotny – mężczyźni to sprawcy ogromnej większości tego rodzaju zbrodni). Głównie jednak obawiamy się tego, co będzie dalej. Z naszej rzeczywistości wyciągnięto bezpieczniki. „Można" atakować nożem i bronią palną skupiska ludzkie. „Udaje się". Przełamano kolejne tabu. Co teraz? Popadniemy w fazę kolejnych traum odmierzanych tragediami, między którymi będziemy stawać na nogi i wzajemnie się wspierać? Pewne jest, że będziemy się nawzajem winić. Politycznie, organizacyjnie, prywatnie i służbowo. Nie uda się bowiem powidoków tragedii w Krakowie osnuć wobec wspólnego wroga („ciapatego", Ukraińca, Rosjanina), a więc obarczyć odpowiedzialnością za przemoc i nienawiść INNYCH. Nie da się zatem stworzyć wokół tej sprawy wspólnego frontu, w którym byłoby od razu wiadomo, kogo nienawidzić.

Teraz nastąpi śledztwo, które niewiele wykaże – ewentualnie obostrzenia, o których szybko zapomnimy, bo Polakiem strach i obawa powodują na krótko. Wrócimy w swoje zwykłe koleiny, może z poczuciem, że odebrano nam jakąś dozę niewinności w pozornym zjednoczeniu, które zaraz pęknie.

eprasa.pl 08cfe9cbca



Musimy obronić POLSKĄ DEMOKRACJĘ

Marszowi Niepodległości zawsze towarzyszyło morze biało-czerwonych flag. W tę narodową kolorystykę doskonale wpasowało się logo Solidarności, które symbolizuje właśnie **maszerujących i wspierających się** ludzi. Związkowcy po raz pierwszy w sposób oficjalny – jako organizacja, a nie jako prywatni ludzie – przeszli 11 listopada ulicami Warszawy, by uczcić Narodowe Święto Niepodległości, a przy tej okazji zaprotestować przeciwko dwóm sprawom: Zielonemu Ładowi i siłowemu przejęciu Trybunału Konstytucyjnego.

Marcin Krzeszowiec

Fot. M. Żegliński (4)



Marsz Niepodległości przechodzi ulicami stolicy od szesnastu lat, ale w tym roku bez dwóch zdań padł frekwencyjny rekord. Swój udział mieli w tym związkowcy z Solidarności, którzy wspólnie z rodakami przeszli trasę wiodącą od Dmowskiego na błoniA Stadionu Narodowego. Tylko z Regionu Podbeskidzkie NSZZ „S" przyjechało do Warszawy blisko tysiąc osób.

W największej patriotycznej manifestacji pod hasłem „Polak w Polsce gospodarzem" mogło uczestniczyć – jak twierdzą organizatorzy – nawet milion osób, choć stołeczny ratusz szacował, że frekwencja była czterokrotnie niższa.

„Solidarność pilnuje Polski"

Takie zainteresowanie Marszem bez dwóch zdań wzniecił kryzys wokół Trybunału Konstytucyjnego. Dla wielu osób to była główna motywacja, by na ten dzień opuścić swoją małą ojczyznę i przyjechać do jej serca, do stolicy. Wspominał o tym również przewodniczący Związku Piotr Duda: – Solidarność pilnuje Polski, dlatego nie mogło nas dzisiaj tutaj zabraknąć 11 listopada. Dzisiaj także maszerujemy, aby obronić niezależność i niepodległość Trybunału Konstytucyjnego. Dlatego ten Marsz ma szczególny wymiar, bo musimy obronić polską demokrację, musimy obronić polską niepodległość – powiedział nam szef Solidarności.

Podobne słowa usłyszeliśmy od innych związkowców, z którymi mogliśmy porozmawiać w trakcie wydarzenia. Niektórzy przyjechali do Warszawy po raz pierwszy właśnie z powodu kryzysu wokół TK.

– Przyjechaliśmy na Marsz Niepodległości po pierwsze, żeby świętować, a po drugie, żeby przeciwstawić się temu, co w tej chwili dzieje się w Polsce. Domagamy się odblokowania Trybunału Konstytucyjnego, przestrzegania prawa, niełamania Konstytucji. Chcemy rządów prawa, chcemy spokoju, chcemy normalnie żyć w Polsce. Uważamy, że ten rząd nie ma w tej chwili już mandatu do rządzenia i uważamy, że powinien podać się do dymisji. Nie może władza wykonawcza wchodzić z butami do sądowniczej, wozić uzurpatorów busami z Kancelarii Premiera do Trybunału Konstytucyjnego, nie wpuszczać legalnie wybranego prezesa TK do Trybunału – argumentował Zenon Burchardt, szef Solidarności w gdyńskiej Stoczni Wojennej.





W tym samym tonie wypowiadali się związkowcy z Kwidzyna:

– Przyjechało nas 114 osób. Sama akcja z Trybunałem przelała czarę goryczy – nie można tylko obejrzeć tego w telewizji, trzeba być na miejscu i brać sprawy w swoje ręce.



Fot. T. Gutry

eprasa.pl 08cfe9cbca





Na Marsz przybyła też pierwsza osoba w państwie, prezydent Karol Nawrocki wraz ze swoim kapelanem księdzem Jarosławem Wąsowiczem. – Na przodzie Marszu idą relikwie św. Andrzeja Boboli z naszego Pałacu Prezydenckiego. Rozpoczęliśmy Marsz modlitwą różańcową. Dajemy świadectwo, że jesteśmy chrześcijańskim narodem i kochamy naszą ojczyznę – podkreślił duchowny w rozmowie z naszym dziennikarzem.

> ***Solidarność pilnuje Polski, dlatego nie mogło nas tutaj zabraknąć 11 listopada. Maszerujemy, aby obronić niezależność i niepodległość Trybunału Konstytucyjnego.***
>
> **PIOTR DUDA, przewodniczący KK NSZZ „Solidarność”.**

Zielony Ład do kosza

O ile słownikowo Zgromadzenie Narodowe oznacza połączone obrady Sejmu i Senatu, o tyle na ulicach Warszawy mieliśmy do czynienia z rzeczywistym zgromadzeniem narodowym – naród zebrał się, by wspólnie świętować odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Tak ogromna manifestacja miłości i dumy z naszej ojczyzny była dla Solidarności doskonałą okazją, by zebrać brakujące podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Jeszcze przed 11 listopada Solidarność miała ich 470 tysięcy, więc do ustawowej liczby pół miliona brakowało już bardzo niewiele. W zbiórkę zaangażowało się około stu wolontariuszy. Na jednym ze związkowych plakatów Solidarność przekonywała, że Zielony Ład oznacza zamknięcie kopalń, likwidacje elektrowni, zakaz ogrzewania się węglem i gazem, drogi prąd i ciepło, zakaz aut spalinowych oraz upadek przemysłu i likwidacje miejsc pracy.

– Zbiórka podpisów jest bardzo ważna i oddaje ideę tegorocznego hasła Marszu Niepodległości. O to właśnie nam chodzi, aby w Polsce Polak był gospodarzem – podkreślił wiceszef Związku Bartłomiej Mickiewicz, który 11 listopada przemawiał też na błoniach Stadionu Narodowego.

Mówił, że w tej chwili cała Europa zazdrości Polsce: – Zazdrości demokracji, zazdrości tego, że możemy pod biało-czerwoną flagą wszyscy spotkać się na tym wspaniałym Marszu. Patrzy na nas cały świat i mam do przekazania jedną bardzo ważną informację: wbrew temu, co pojawia się w mediach, wbrew temu, o czym mówią niektórzy politycy: Polska to jest przepiękny, demokratyczny, wspaniały i pokojowy kraj – przemawiał ze sceny Bartłomiej Mickiewicz.

Narodowa duma

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że Polska ma dzisiaj najlepszą prasę w historii. Jesteśmy podziwiani za bezpieczne i czyste miasta, za wiarę w Boga, za ochronę własnych granic i zachowanie jednolitej struktury narodowej wbrew presji migracyjnej.

Jesteśmy podziwiani też za patriotyzm, który naród tak licznie zamanifestował 11 listopada. Prezes Młodzieży Wszechpolskiej powiedział nam, że rekordowa frekwencja potwierdziła, że „patriotyzm znów jest czymś, z czego jesteśmy dumni, i czymś, co Polacy chcą kultywować” i „że ta wspólnota narodowa nie umarła, jak wielu by chciało, ale jest w ofensywie, i to bardzo cieszy”.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Rekordowy Marsz nadziei i gniewu

Oczekiwania wobec tegorocznej szesnastej już edycji Marszu Niepodległości były bardzo duże, towarzyszyły im też spore obawy. Z jednej strony olbrzymia społeczna determinacja, z drugiej władza, po której **trudno spodziewać się sympatii** dla wielkich i niewątpliwie krytycznie do niej nastawionych patriotycznych inicjatyw. Obawy się nie spełniły. Oczekiwania – aż nadto.

Krzysztof Karnkowski

Marsz już na wiele dni przed 11 listopada zapowiadał się jako wydarzenie o wyjątkowej skali. Organizatorzy nie kryli optymizmu, sugerując, że frekwencja może przewyższyć nawet rekordową edycję z 2018 roku zorganizowaną w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Wskazywali przy tym na konkretne przesłanki: kilkukrotny wzrost liczby zgłoszeń na zorganizowane wyjazdy z niektórych regionów kraju, większe zainteresowanie wolontariatem i intensywne przygotowania logistyczne. W najbardziej optymistycznych prognozach pojawiała się nawet liczba pół miliona uczestników. Potwierdzały to również zwyczajne rozmowy, mobilizacja internetowa, stadionowa i podwórkowa. Rzeczywista frekwencja okazała się imponująca, choć jej dokładne oszacowanie, jak zwykle w takich przypadkach, wywołało spory. Organizatorzy jeszcze podczas przemarszu informowali o przekroczeniu liczby pół miliona uczestników, sugerując nawet możliwość osiągnięcia miliona. Tradycyjnie dużo ostrożniejsze były szacunki stołecznych służb: dyrektor Stołecznego Centrum Bezpieczeństwa Jarosław Misztal, powołując się na dane policji, mówił o około 250 tysiącach osób. Dodajmy jednak, że tę samą liczbę podawano w kontekście rekordowego dotąd Marszu z 2018 roku, podczas gdy uczestnicy twierdzą, że frekwencja tegoroczna była o wiele wyższa. Potwierdzają to takie szczegóły, jak bardzo mocno rozłożony w czasie proces wychodzenia grup uczestników z miejsca zbiórki i docieranie gęsto zapełnionych kolumn manifestantów na błonia Stadionu Narodowego. Nowe osoby



Fot. M. Żegliński



jeszcze po 19 (ponad cztery godziny od momentu wymarszu czoła pochodu!) wciąż przechodziły przez Most Poniatowskiego, gdy przy stadionie końca dobiegała już część artystyczna. Powszechną wesołość wzbudzili dziennikarze Onetu, którzy analizując powierzchnię zajmowaną przez demonstrantów i zagęszczenie tłumu, wyliczyli 120–160 tysięcy uczestników obecnych na trasie około godziny 16.30. Nawet oni musieli jednak asekurować się, zaznaczając, że nieoficjalne szacunki służb są znacznie wyższe.

Przygrywka pod TK

Tegoroczny Marsz Niepodległości, istotny już wcześniej jako manifestacja niezgody na liczne antyspołeczne i antydemokratyczne w swej istocie aspekty polityki rządu Tuska, nabrał szczególnego znaczenia w kontekście przywołanego już konfliktu wokół Trybunału Konstytucyjnego. Protesty pod jego siedzibą pokazały bowiem, że sprzeciw wobec przynajmniej niektórych najdalej jak dotąd idących działań rządu może stać się płaszczyzną – choćby i wymuszonego okolicznościami – współdziałania środowisk prawicy, które na co dzień pozostają ze sobą w ostrym sporze. Wśród demonstrantów znaleźli się przedstawiciele PiS, Konfederacji, Korony, Solidarności, Ruchu Obrony Granic i Klubów „Gazety Polskiej", a symbolem nieoczekiwanego zbliżenia stało się wspólne zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego i Grzegorza Brauna. Nie był to prawie na pewno obrót wydarzeń spodziewany przez premiera, który wraz

z ministrami i „swoimi" sędziami z głównym szturmem wyczekał na pierwszą noc weekendu, podczas którego Polacy masowo planowali wybrać się na groby bliskich. Nie oznaczało to oczywiście politycznego pojednania ani zgodności co do sposobu rozwiązania kryzysu, czego przykładem były choćby propozycje konstytucyjnego resetu wysuwane przez Krzysztofa Bosaka. Dla obozu rządzącego groźna mogłaby się jednak okazać nie tyle perspektywa trwałego zjednoczenia prawicy, ile jej zdolność do masowej mobilizacji ponad partyjnymi podziałami. Tak, by pokój panujący między maszerującymi od lat ramię w ramię sympatykami różnych grup – od klubów „GP" po zwolenników wszystkich nurtów Konfederacji – przeniósł się również w górę tej złożonej struktury. Politycznego potencjału takiej mobilizacji nie sposób przeoczyć również po stronie obozu rządzącego. Po tragicznym zamachu w Krakowie pojawiły się głosy sugerujące konieczność odwołania Marszu Niepodległości. Pretekstem do dyskusji stały się między innymi przedwczesne doniesienia o poglądach sprawcy, którego minister Marcin Kierwiński już w pierwszych godzinach po tragedii powiązał ze skrajnie prawicowymi ideologiami, choć motyw zbrodni pozostawał nieustalony. Znana z radykalizmu (i kilku innych rzeczy) Eliza Michalik zaapelowała wprost do Donalda Tuska o odwołanie Marszu, podobne stanowisko zajęła posłanka KO Karolina Pawliczak, a związani z obozem rządzącym komentatorzy zaczęli przedstawiać zbliżającą się manifestację jako potencjalne zagrożenie. Tusk apeli nie posłuchał, natomiast 11 listopada Warszawa od rana stała się miejscem koncentracji potężnej liczby sił policyjnych.

Razem i osobno

Gdy środowiska liberalne próbowały po staremu Marsz obrzydzić, do udziału w nim zachęcali uczestnicy z poprzednich edycji, organizatorzy, również czołowi politycy prawicy. Jeszcze w połowie października Jarosław Kaczyński apelował, by tegoroczna manifestacja była największą w historii, przedstawiając ją jako demonstrację w obronie demokracji i suwerenności. Przyznawał przy tym, że choć sam nie jest gospodarzem wydarzenia, zaprasza na nie wszystkich swoich zwolenników. Udział potwierdził także prezydent Karol Nawrocki, podkreślając, że zamierza być na Marszu – jak co roku – „w tym szczególnym momencie dla Polski". Nawrocki pojawił się na Marszu wraz z synem, budząc entuzjazm uczestników imprezy. Wśród obecnych, a wcześniej obecność deklarujących polityków znaleźli się nie tylko dość oczywiści w tym kontekście Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun, co roku ściągający na Marsz swoich zwolenników, lecz także były premier i szef Rozwoju Plus Mateusz Morawiecki. Konfederacja tradycyjnie prowadziła własną akcję mobilizacyjną, wykorzystując między innymi plakaty z osobistym zaproszeniem Bosaka. Obecność liderów różnych ugrupowań wciąż nie oznaczała politycznego porozumienia konkurujących ze sobą środowisk, stwarza jednak okazję do zamanifestowania sprzeciwu wobec rządu Donalda Tuska. Politycy wzięli udział w Marszu obok siebie, lecz nie razem, nie obyło się też bez kilku zgrzytów. Brakiem powagi wykazał się niestety Sławomir Mentzen, który wbrew swym niedawnym deklaracjom spod TK wrócił do hasła „PiS PO jedno zło", tym razem wyrażonego w grafice z napisem „Reset" opatrzonej przekreślonymi wizerunkami Tuska i Kaczyńskiego.

> SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ ZWRACAŁO W TYM ROKU OFICJALNE ZAANGAŻOWANIE W WYDARZENIE NSZZ „SOLIDARNOŚĆ".

Co ciekawe, Jarosław Kaczyński zareagował na tę zaczepkę dość powściągliwie. Przyznał, że podczas Marszu pojawiły się „nieprzyjemne elementy", zapewnił jednak, że nie zamierza przywiązywać do nich większej wagi. W rozmowie z Onetem zapowiedział bowiem działania na rzecz stworzenia „jednej wielkiej listy" prawicy w przyszłorocznych wyborach, i to nie tylko do Senatu, lecz przede wszystkim do Sejmu. Przyznał zarazem, że trzeba będzie przekonywać do tego polityków „trzech Konfederacji", mając na myśli środowiska Mentzena, Bosaka i Brauna. Była to deklaracja tym bardziej znacząca, że dotychczas Kaczyński wielokrotnie wykluczał współpracę z tym ostatnim. Krzysztof Bosak podczas Marszu również mówił o potrzebie zjednoczenia patriotów przed wyborami w 2027 roku i utworzenia wspólnego rządu. To dobrze współgra z deklaracją Kaczyńskiego, choć nie oznacza poparcia konkretnego projektu jednej listy. Z pozytywnych akcentów mogliśmy zobaczyć wspólne marszowe zdjęcie Ewy Zajączkowskiej-Hernik i Mateusza Morawieckiego.

eprasa.pl 08cfe9cbca

W obronie ludzi i wartości

Szczególną uwagę zwracało w tym roku oficjalne zaangażowanie w wydarzenie NSZZ „Solidarność". Decyzja Sztabu Protestacyjnego o ogólnopolskim udziale Związku przełożyła się na obecność tysięcy związkowców z całego kraju, na czele z przewodniczącym Piotrem Dudą i członkami Prezydium Komisji Krajowej. Z samego Regionu Gdańskiego przyjechało trzynaście autokarów. Marsz stał się dla Solidarności nie tylko manifestacją patriotyzmu, ale także przedłużeniem wcześniejszych, licznych protestów przeciwko polityce klimatycznej UE i działaniom rządu wobec Trybunału Konstytucyjnego. Podczas przemarszu związkowi wolontariusze zbierali podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie Zielonego Ładu. Jak tłumaczył wiceprzewodniczący Bartłomiej Mickiewicz, inicjatywa ta doskonale wpisywała się w tegoroczne hasło Marszu: „Polak w Polsce gospodarzem". Odnosząc się do kosztów unijnej polityki klimatycznej, przypominał również o dwukrotnym odrzuceniu przez Senat prezydenckich wniosków referendalnych. Z kolei Piotr Duda podkreślał podczas Marszu: „Solidarność kocha Polskę i nie mogło nas tu dzisiaj zabraknąć", wskazując zarazem, że Związek manifestuje w obronie niezależności Trybunału Konstytucyjnego i porządku prawnego. Podczas końcowego zgromadzenia na błoniach Stadionu Narodowego Mickiewicz, dziękując uczestnikom za frekwencję i atmosferę, przekonywał, że Polska może stać się inspiracją dla zachodniej Europy, która coraz wyraźniej dostrzega konsekwencje odrzucenia narodowych tradycji i tożsamości. – Dziś zazdrości nam cała Europa! – podsumował. Wyjazdy na wydarzenie organizowały także aktywne co roku Kluby „Gazety Polskiej", Ruch Obrony Granic oraz Patrole Obywatelskie. ROG zapowiedział tym razem utworzenie własnego bloku, akcentując kwestie bezpieczeństwa granic i sprzeciwu wobec polityki migracyjnej. Do współorganizacji Marszu przystąpił również związek zawodowy „Wspólna Sprawa" skupiający między innymi środowiska związane z rolnictwem, leśnictwem i łowiectwem, a więc kolejne grupy padające ofiarą unijnej agendy i bezwzględnej determinacji w jej wcielaniu ze strony naszych władz. Jego przedstawiciele zaznaczali, że uczestnictwo w Marszu nie oznacza identyfikacji z jakąkolwiek partią, lecz wynika z przywiązania do niepodległości i suwerenności państwa. Podsumowując: choć wyliczanka ta wygląda imponująco, w większości obejmuje podmioty, biorące już wcześniej udział w Marszu, choć nie zawsze w formie tak mocno zorganizowanej i zadeklarowanej. Już wcześniej obchody 11 listopada były jedną z wyjątkowych sytuacji, w których politycy potrafili mobilizować swój elektorat dla wyższego celu, licząc się z tym, że jakaś część splendoru spłynie na ich konkurencję mocniej i dłużej zaangażowaną w organizację wydarzenia. Jednak w tym roku kluczowa miała okazać się determinacja narosła w trakcie wcześniejszych wydarzeń wokół Trybunału Konstytucyjnego.

> STADIONOWY DUCH WYBRZMIAŁ W KILKU MAŁO WYBREDNYCH, ALE BARDZO DOSADNYCH KOMUNIKATACH DLA PREMIERA.

Mocny komunikat

W dniach poprzedzających święto wyraźne sygnały mobilizacji napływały również ze środowisk kibicowskich od lat związanych z Marszem Niepodległości. Podczas meczu Radomiaka Radom ze Śląskiem Wrocław 2 listopada na trybunach pojawił się transparent „11 listopada wszyscy na Marsz", któremu towarzyszyło ostre hasło wymierzone w Donalda Tuska. Kibice Wisły Płock wywiesili z kolei deklarację: „W obronie polskich wartości idę na Marsz Niepodległości". Polityczne transparenty pojawiały się także na stadionach Lechii Gdańsk, Cracovii i innych klubów. Na forach kibicowskich dyskutowano o potrzebie wspólnego wystąpienia ponad tradycyjnymi podziałami klubowymi. Nie sposób było jeszcze określić skali tej mobilizacji, jednak zapowiedzi sugerowały, że środowiska stadionowe mogą stanowić zauważalną część manifestacji. Inne – mniej nadające się do cytowania – transparenty pojawiły się na wielu polskich stadionach, wskazując na dużą dawkę emocji, które zaczęły buzować przed 11 listopada. I jak co roku kibice stanowili ważną i głośną grupę maszerujących, a stadionowy duch wybrzmiał w kilku mało wybrednych, ale bardzo dosadnych komunikatach dla premiera Tuska.

Można więc powiedzieć, że plan się udał. Społeczne emocje – te dobre i te złe – wybrzmiały bardzo głośno. Zostajemy z pięknymi wspomnieniami, mocnymi zdjęciami i pytaniem, czy politycy będą potrafili tę wykrzesaną również przez siebie samych energię przekuć w trwałą i skuteczną polityczną zmianę.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Zostaniemy tu jeszcze jedną zimę



Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 08cfe9cbca

– Nasza obecność, protest, mobilizacja patriotów uświadomiły tej władzy, że tak łatwo im nie pójdzie, nie uda się szybko i po cichu przejąć Trybunału. Nie spodziewali się takiej aktywności obywatelskiej Polaków. Mało tego – część sędziów TK lojalnych wobec prezesa Bogdana Święczkowskiego, widząc opór obywateli wobec działań Donalda Tuska, utwierdziła się w przekonaniu, by trwać przy prezesie Święczkowskim i nie ulegać uzurpatorom – mówi lider miasteczka namiotowego, legendarny opozycjonista **Adam Borowski** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– Jak to się stało, że został Pan „burmistrzem" miasteczka przed TK? Kiedy zapadła decyzja, że trzeba tutaj być, bo szykuje się zamach stanu?

– Dostałem wiadomość w czwartek wieczorem, 10 października, że Trybunał Konstytucyjny jest zagrożony i władza chce go zająć. Przypomnę, że wcześniej zajęli Akademię Wymiaru Sprawiedliwości, gdzie też protestowałem i policja wynosiła mnie siłą. Kiedy po bezpardonowym przejęciu Akademii próbowano siłowo przejąć TK, wiedziałem już, że AWS to był poligon przed nielegalnym przejęciem TK. Następnego dnia rano jako szef Klubu „Gazety Polskiej" i członek zarządu Stowarzyszenia Wolnych Polaków pojawiłem się tutaj o 9 rano i powiedziałem zdezorientowanym policjantom, że właśnie tutaj rozpoczynam zgromadzenie spontaniczne. Niedługo po tym, jak zainstalowaliśmy się przed TK, zgłosiłem zgromadzenie w trybie uproszczonym, by nie zajmować jezdni, bo nie wiedziałem, jak się to rozwinie.

– Co Pana wewnętrznie motywuje do tego wysiłku? Bo to przecież wysiłek fizyczny, organizacyjny i osobisty.

– Martin Luther King mówił, że „jeśli akceptujesz zło, jesteś tak samo za nie odpowiedzialny, jak ten, który je czyni". Ja ją sobie zapamiętałem i odkąd Koalicja 13 grudnia przejęła władzę w Polsce, zdecydowałem, że nie mogę być bierny. Działam, jeżdżę na rozprawy niesłusznie oskarżanych, jak tylko mogę, pojawiam się na protestach, pikietach czy w mediach.

– Rozwinęło się to błyskawicznie.

– Tak, Wolni Polacy ustawili swój namiot, w piątym dniu dołączył Ruch Obrony Granic, choć ludzie ROG byli od pierwszego dnia. Potem ruszyła lawina, szczególnie po zajściach, podczas których chciano zlikwidować miasteczko, mnie samego poturbowano i straciłem przytomność. Na szczęście nie mam złamanych żeber, tylko stłuczone. To też bardzo bolesne, szczególnie przy głębszym oddechu albo kaszlu. Wtedy do akcji dołączyła NSZZ „Solidarność".

– Jak się Pan teraz czuje?

– Znakomicie, bo jestem człowiekiem, który w walce czuje się najlepiej.

– Czy to jest najważniejsze wydarzenie polityczne od 1989 roku?

– To przełomowy moment dla Polski, Polska może wyjść z tego silniejsza, ale może też stracić niepodległość. Jesteśmy w bardzo doniosłej chwili dla naszej ojczyzny. TK stoi na straży konstytucji. Polska pozbyła się części suwerenności, przystępując do UE, ale Unia nie jest państwem, tylko sojuszem gospodarczym i politycznym. Wstępowaliśmy do UE z suwerennych państw, Komisja Europejska próbuje od kilku lat poszerzać swoje kompetencje, zawłaszczać inne sfery życia, do których nie daliśmy jej prawa. Prawo unijne nie może być nadrzędne w stosunku do konstytucji.

– W miasteczku mówi się o pewnej sekwencji: przejęcie TK, unieważnienie wyborów prezydenckich, zastąpienie prezydenta Karola Nawrockiego marszałkiem Sejmu, czyli Włodzimierzem Czarzastym, usunięcie prezesa NBP Adama Glapińskiego, dobranie się do rezerw złota i na końcu delegalizacja partii politycznych.

JAKO SZEF KLUBU „GAZETY POLSKIEJ" I CZŁONEK ZARZĄDU STOWARZYSZENIA WOLNYCH POLAKÓW POJAWIŁEM SIĘ PRZED TK O DZIEWIĄTEJ RANO I POWIEDZIAŁEM ZDEZORIENTOWANYM POLICJANTOM, ŻE WŁAŚNIE TUTAJ ROZPOCZYNAM ZGROMADZENIE SPONTANICZNE.

eprasa.pl 08cfe9cbca

– To jest dokładnie ta droga, o której Pan mówi, no i wprowadzenie euro na miejsce polskiego złotego. Dlatego obrona TK jest tak ważna. Przejęcie Trybunału przez obecną władzę spowoduje efekt domina z tragicznymi skutkami dla kraju. Skoro TK może orzec, że prezydent nie jest zdolny do pełnienia funkcji, to ulegli Tuskowi sędziowie znajdą odpowiednie dysfunkcje, które uniemożliwią w ich mniemaniu kontynuowanie prezydentury przez Karola Nawrockiego. Przecież Koalicja 13 grudnia już uznaje, że sędziowie TK wybrani przez Sejm nie są sędziami TK, nie uznają jednej z izb Trybunału. Trzy tysiące sędziów wybranych po 2017 roku to nie są według nich sędziowie.

CZUJĘ SIĘ ZNAKOMICIE, BO JESTEM CZŁOWIEKIEM, KTÓRY W WALCE CZUJE SIĘ NAJLEPIEJ.

– Czy niezwykła mobilizacja Polaków i powrót prezydenta z podróży do Senegalu spowodowały, że nie doszło do pacyfikacji protestujących przez policję tamtej pamiętnej nocy?

– Zdecydowanie. Nasza obecność, protest, mobilizacja Polaków, patriotów uświadomiły tej władzy, że tak łatwo im nie pójdzie, nie uda się szybko i po cichu przejąć Trybunału, zainstalować w nim swoich ludzi i udawać, że wszystko jest w porządku. Oni się nie spodziewali takiej aktywności obywatelskiej Polaków. Mało tego – część sędziów TK lojalnych wobec prezesa Bogdana Święczkowskiego, widząc opór obywateli wobec działań Tuska, utwierdziła się w przekonaniu, by trwać przy prezesie Święczkowskim i nie ulegać uzurpatorom.

– Jak wygląda codzienność w miasteczku namiotowym? Co wypełnia czas protestujących tutaj osób?

– Mamy ożywione rozmowy, prowadzimy program „Akademia Wymiaru Sprawiedliwości", w którym zaproszeni eksperci z różnych dziedzin prawa mówią o praworządności. Nieustannie przychodzą politycy z prawej strony sceny politycznej, przedstawiciele organizacji patriotycznych i zwykli Polacy. Mam poczucie rodzenia się nowej solidarności, jedności między ludźmi. Przywożą nam tutaj ciepłe posiłki, zupy, jedzenie, owoce i słodycze. Pamiętam taką wzruszającą scenę, gdy przyjechała do nas spod granicy z Białorusią młoda mama ze swoją mamą i rocznym synkiem Marcelim. Przyjechały na kilka godzin ze względu na małe dziecko, jednak chciały tutaj się znaleźć, choćby na chwilę. Śpiewamy w miasteczku pieśni patriotyczne, modlimy się. Odwiedzają nas kapłani, modlą się razem z nami za ojczyznę, za naród, za bezpieczną, praworządną Polskę.

MAM POCZUCIE RODZENIA SIĘ NOWEJ SOLIDARNOŚCI, JEDNOŚCI MIĘDZY LUDŹMI. PRZYWOŻĄ NAM TUTAJ CIEPŁE POSIŁKI, ZUPY, JEDZENIE, OWOCE I SŁODYCZE.

– To prawda, że pojawiają się sami starsi ludzie?

– Na początku faktycznie większość osób była w starszym wieku, jednak się to zmieniło. Mamy teraz właściwie cały przekrój społeczny, młodych też jest wielu, coraz więcej. Rozmawiam z młodymi ludźmi, z czternastolatkami, osiemnastolatkami. To ludzie bardzo świadomi tego, dlaczego tutaj przyszli, czemu służy Trybunał Konstytucyjny, dlaczego jest tak ważny. To mnie podbudowało.

– Piszą do Was ludzie, deklarują wsparcie? Nie każdy może tutaj przyjechać.

– Ależ oczywiście. Dostajemy wyrazy wsparcia z różnych stron świata od Polaków, organizacji patriotycznych. Ludzie piszą, że osobiście nie mogą tutaj przyjechać i pytają, jak mogą pomóc.

– Wasi przeciwnicy mówią, że to się w końcu wygasi, przyjdzie zima i się zwiniecie. Ale Adam Borowski to fighter, prawda?

– Nie poddamy się [śmiech], to się nie wygasi. Ja się nie poddam. Mamy tutaj stałą grupę ludzi, którzy na kilka dni jadą do domu i znowu są przed Trybunałem. Zostaniemy tutaj jeszcze jedną zimę, jak będzie trzeba, choć liczę, że te rządy skończą się szybciej, przed terminem, bo każdy dzień rządów Tuska to strata dla Polski.

Adam Borowski – polski działacz opozycji demokratycznej i niepodległościowej w PRL, wydawca i działacz społeczny. Członek Solidarności, szef Warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej".

eprasa.pl 08cfe9cbca

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Monika Małkowska

Indyferentni

Między nami, po ulicy, pojedynczo i parami snują się… obojętni.

Ich bezlitosny portret stworzył Alberto Moravia w debiutanckiej powieści (miał 18 lat, gdy ją pisał) „Gli indiffrerenti". Książka „Obojętni" ukazała się w 1929 r., czyli niemal wiek temu. Potem – długo potem – fabuła została zekranizowana; jak na razie po raz ostatni w 2020 r. Jednak nie tylko na ekranie – całe zastępy pasywistów możemy spotkać we współczesnej Polsce.

To osobny gatunek ludzki. Są jak umysłowo-emocjonalni zombie, choć zapewne na podobny epitet odęliby się na całe życie. Przecież oni są aktywni! Biegają od jednej świątyni sztuki do następnej. Są oczytani, naoglądani, osłuchani. Jacy „bierni"? Po prostu chronią swoje zdrowie psychiczne. Poza tym praca, praca nade wszystko! W pocie czoła budują swój prywatny dobrobyt. Trudno im wygospodarować czas dla rodziny, choć przecież to właśnie potomkom zabezpieczają godne życie. Bo w naszej rzeczywistości kasa (a raczej kasiora) musi być, biedacy do kasacji, tylko psują pogodną atmosferę. Obojętniacy odpalają się emocjonalnie dopiero przy „kulturalnej" dyskusji o nowej „Lalce" czy najnowszym tomiszczu Olgi Tokarczuk.

Tematy polityczne zupełnie ich nie jarają. Generalnie nie mają zaufania do żadnej partii ani do żadnego z wodzów na naszym politycznym ringu. Na ogół nie kibicują Karolowi Nawrockiemu („Słyszałem[-am], że to złodziej i alfons…"), jednak również nie dopingują Donalda Tuska. Owszem, czasem fajnie pogapić się, kto komu i jak mocno przywali. Jak się nie kuma realu, można powołać się na komentatorów z wiarygodnych źródeł. Nie, nie z tych niezależnych – tam siedzą straszni hejterzy. Wierzyć można tylko tym ze stacji publicznych – no przecież oni chyba muszą przekazywać prawdę!

Indyferentni nie są agresywni, nie używają wulgaryzmów w rozmowie o którejkolwiek ze stron politycznego sporu, ale też nie sympatyzują ani z silniczkami, ani z koczującymi przed TK obrońcami praworządności. No, ale gdy tych obojętnych zahacza się o to, czy wezmą udział w Marszu Niepodległości, wyjątkowo ważnym w tym roku, kluczą z odpowiedzią. Nie patrzą w oczy, bzdurzą coś o „faszystach", których należy się bać.

Mają jedno marzenie: żeby w państwie (wszystko jedno, pod jaką banderą) był spokój. Żeby nie nawiedziły nas powodzie, klęska nieurodzaju czy powtórka z covida (albo inne zarazy, jako że służba zdrowia w rozsypce) – wszystko, co mogłoby im zakłócić konsumpcję. Intelektualną, rzecz jasna. I w ogóle komfort życia. Znacie takich? Ja natykam się na nich co krok. Moi dawni koledzy. Kiedyś też namiętnie wdawałam się z nimi w intelektualne dywagacje. Bo w latach 90. wydawało się, że już na to nadszedł czas, że polit-walkę mamy za sobą; że już „witamy cię, jutrzenko wolności". Było, minęło. Już dawno zrozumiałam, że kultura to też polityka, tylko owinięta w kaszmirowy otok. Dziś rozmowy „takie bardziej za kulturą", z całkowitym pomijaniem/wyeliminowaniem politycznego tła, wydają mi się… obojętne. Z dawnymi kumplami wymieniam grzecznościowe „small talki". Nie potrafię wykrzesać wobec nich głębszej sympatii ani szczerze pogadać o tym, co najważniejsze. Bo im Polska nie jest ojczyzną. Oni w ogóle nie rozumieją, czym ojczyzna jest. Jak podają statystyki: 14% „rodaków" nie cierpi Polski, a dla 28% „ten kraj" i jego niezawisłość jest obojętna. Poza tym są neutralni. Za ich dobrostan mają walczyć inni.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Polska jest ważniejsza, niż wam się wydaje

– Każdy scenariusz, w którym polski bank centralny zostaje zdyskredytowany lub zdestabilizowany, może mieć negatywne konsekwencje dla zaufania do całego systemu euro – mówi **Izabella Kamińska** w rozmowie z **Antonim Opalińskim**.



Fot. arch. rozmówczyni

– Jak z perspektywy międzynarodowego środowiska finansowego wygląda dotychczasowy przebieg kontrowersji między rządem a Narodowym Bankiem Polskim i jego prezesem?

– To jest bardzo ważna konfrontacja, szczególnie z punktu widzenia europejskich przepływów pieniężnych, zarządzania gospodarką przez banki centralne oraz inwestorów. Ten konflikt ma duże znaczenie ze względu na potencjalne konsekwencje dla całej Unii Europejskiej, a zwłaszcza dla strefy euro. Chociaż Polska nie należy do strefy euro, zgodnie z zobowiązaniami wynikającymi z członkostwa w Unii Europejskiej oczekuje się, że ostatecznie do niej przystąpi. Dlatego każdy scenariusz, w którym polski bank centralny zostaje zdyskredytowany lub zdestabilizowany, może mieć negatywne konsekwencje dla zaufania do całego systemu euro. Jest to szczególnie niepokojące obecnie. Wiele państw członkowskich jest objętych procedurą nadmiernego deficytu. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej sytuacji potrzebuje strefa euro, jest destabilizacja Polski i osłabienie zaufania do jej gospodarki. A tak właśnie mogłoby się stać, gdyby pojawiły się wątpliwości dotyczące tego, kto faktycznie sprawuje władzę nad polityką pieniężną w Polsce i kto

eprasa.pl 08cfe9cbca

ma prawo ustalać stopy procentowe. Dlatego ten konflikt jest tak istotny.

– Tymczasem polski bank centralny od kilku lat zwiększa rezerwy złota. Jakie jest długofalowe znacznie tej strategii?

– To kolejny powód, dla którego wydarzenia w Polsce mają znaczenie międzynarodowe. Polska była w ostatnich latach jednym z największych nabywców złota na świecie, jej obecne rezerwy wynoszą około 700 ton. Ci, którzy śledzą międzynarodowe przepływy złota, regularnie widzą Polskę wśród największych kupujących. Ma to szczególne znaczenie w kontekście utrzymujących się wątpliwości dotyczących przyszłości dolara i jego dominującej pozycji w międzynarodowym systemie walutowym jako waluty rezerwowej. Zakupy złota przez Polskę wpisują się bowiem w szerszą tendencję do dywersyfikowania rezerw i ograniczania zależności od dolara. To jest też sygnał, że rezerwy dolarowe, a szerzej również rezerwy utrzymywane w walutach fiducjarnych – w przypadku Polski także w euro – mogą nie być już postrzegane jako tak bezpieczne i stabilne jak w przeszłości. Jeśli chodzi o motywację tych działań, sądzę, że Adam Glapiński wyraźnie wskazywał, iż chodzi o zabezpieczenie niezależności i suwerenności Polski. Jest to zgodne z jego ogólnym przekonaniem, że przyjęcie euro nie byłoby dla Polski korzystne, ponieważ oznaczałoby ograniczenie jej suwerenności. Myślę, że właśnie to stanowi podstawowe uzasadnienie tej strategii.

Istnieje jednak interesujący aspekt uboczny związany z zakupami złota, który wyszedł na jaw na początku tego roku, kiedy prezydent Karol Nowrocki i prezes Adam Glapiński ogłosili plan wykorzystania polskiego złota do ewentualnego sfinansowania alternatywnego programu zbrojeniowego. To był moment, w którym wiele osób pomyślało: a więc być może chodzi o coś więcej niż tylko stabilność finansową. Oczywiście ten projekt nie został zrealizowany ze względu na trwający spór polityczny. Najważniejszy jest jednak sygnał, jaki płynie z tych działań: złoto stanowi strategiczne zabezpieczenie Polski. Jest rezerwą, która ma służyć obronie jej suwerenności.

OSTATNIĄ RZECZĄ, JAKIEJ POTRZEBUJE STREFA EURO, JEST DESTABILIZACJA POLSKI I OSŁABIENIE ZAUFANIA DO JEJ GOSPODARKI.

– Czy Polska powinna zakładać, że w pewnym momencie przystąpi do strefy euro, czy może pozostawać w Unii bez rezygnacji z własnej waluty?

– To bardzo ważne pytanie. Myślę, że w tej debacie często pomija się fakt, iż Polska jest formalnie zobowiązana do przyjęcia euro. Jest to część zobowiązań, które podjęła, przystępując do Unii Europejskiej. Chodzi o zasady wynikające z traktatu z Maastricht i późniejszych zobowiązań akcesyjnych. Polska nie wynegocjowała prawa do trwałego pozostania poza strefą euro. Z punktu widzenia Brukseli i Europejskiego Banku Centralnego pytanie brzmi więc nie „czy", ale „kiedy" Polska przyjmie wspólną walutę. Jeżeli państwo chce na stałe pozostać poza strefą euro, musi uzyskać specjalne wyłączenie z tego obowiązku. Takie rozwiązanie miała na przykład Wielka Brytania. Polska nigdy takiego wyłączenia nie uzyskała. Dlatego trwała odmowa przystąpienia do strefy euro oznaczałaby naruszenie pierwotnych zobowiązań związanych z członkostwem w Unii Europejskiej. Z perspektywy Brukseli i Europejskiego Banku Centralnego Polska spełnia już odpowiednie warunki i powinna w stosunkowo niedalekiej przyszłości przystąpić do strefy euro. Fakt, że tego nie robi, wynika przede wszystkim z uwarunkowań politycznych.

ZŁOTO STANOWI STRATEGICZNE ZABEZPIECZENIE POLSKI. JEST REZERWĄ, KTÓRA MA SŁUŻYĆ OBRONIE JEJ SUWERENNOŚCI.

Myślę również, że kiedy Polska przystępowała do Unii Europejskiej, wielu obywateli nie do końca rozumiało, iż przyjęcie euro będzie oznaczało rezygnację ze złotego. Nie sądzę, aby zostało to wówczas dostatecznie jasno zakomunikowane społeczeństwu.

eprasa.pl 08cfe9cbca

– Ale czy przyjęcie euro w tym momencie byłoby dla Polski korzystne?

– Z praktycznego punktu widzenia potencjalnie tak, ponieważ mogłoby obniżyć koszty kredytu i finansowania długu. Państwa przystępujące do strefy euro korzystają zazwyczaj ze znacznego obniżenia premii za ryzyko kredytowe. Dzieje się tak dlatego, że ich zadłużenie zaczyna być denominowane w euro i jest postrzegane jako objęte pewnego rodzaju ochroną całej strefy walutowej. Widzieliśmy to szczególnie wyraźnie w przypadku Grecji oraz innych państw prowadzących wcześniej mniej zdyscyplinowaną politykę fiskalną.

Z jednej strony jest to ogromna korzyść, ponieważ państwo nagle uzyskuje znacznie łatwiejszy dostęp do finansowania. Z drugiej strony może to prowadzić do nadużyć, czego przykładem była właśnie Grecja. Podczas dyskusji o przystąpieniu Bułgarii do strefy euro jednym z najważniejszych pytań było to, czy tamtejszemu rządowi można zaufać w kwestii odpowiedzialnego wykorzystania większych możliwości zadłużania się. Obawiano się, że łatwiejszy dostęp do kredytu może zostać wykorzystany do jeszcze większego zadłużenia gospodarki. Polska już dziś jest mocno zadłużona i ma znaczny deficyt budżetowy. Pod tym względem jej sytuacja różni się od sytuacji Bułgarii. Bułgaria funkcjonowała bowiem w systemie sztywnego powiązania swojej waluty z euro, co w pewnym sensie sprzyjało utrzymywaniu zdrowszej sytuacji fiskalnej. Konstrukcja tego systemu ograniczała możliwości nadmiernego zadłużania się. W Polsce takie ograniczenia nie występują. Przyjęcie euro z pewnością obniżyłoby premię za ryzyko, co byłoby istotną korzyścią. Pytanie jednak, jak długo ten efekt by się utrzymał.

Istnieje także problem wzrostu cen, który często towarzyszy przyjmowaniu wspólnej waluty. Nie musi to jednak nastąpić w Polsce, ponieważ poziom cen jest już w dużym stopniu zbliżony do poziomu zachodnioeuropejskiego, szczególnie w dużych miastach. Niemniej istnieje obawa, że proces dalszego wyrównywania cen do poziomu obserwowanego we Francji czy w Niemczech mógłby spowodować ogólny wzrost wskaźnika inflacji.

POLSKA NIE WYNEGOCJOWAŁA PRAWA DO TRWAŁEGO POZOSTANIA POZA STREFĄ EURO.

– W Polsce mamy jeszcze jeden bardzo poważny konflikt polityczny i ustrojowy dotyczący Trybunału Konstytucyjnego. Czy ten spór może mieć wpływ na sytuację gospodarczą?

– Myślę, że potencjalnie tak, ponieważ może on przesądzić o przyszłości Adama Glapińskiego i o tym, czy pozostanie on na stanowisku prezesa Narodowego Banku Polskiego. Koalicja rządząca próbuje doprowadzić do jego usunięcia i zarzuca mu osiem konkretnych naruszeń prawa. Aby sprawa mogła zostać rozpatrzona przez Trybunał Stanu, potrzebna jest bezwzględna większość głosów w parlamencie. Trybunał Konstytucyjny uznał jednak, że wymagany próg powinien wynosić trzy piąte głosów. Jest to znacznie wyższy próg, którego osiągnięcie przy obecnym układzie sił w polskim parlamencie nie jest wcale pewne. Jeżeli jego rozstrzygnięcie zostanie uchylone przez nową strukturę Trybunału Konstytucyjnego, bardzo prawdopodobne jest, że Adam Glapiński stanie przed Trybunałem Stanu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostanie uznany za winnego. W takiej sytuacji sprawa mogłaby trafić na poziom europejski, do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Byłoby to dość ironiczne, biorąc pod uwagę, że cały spór wokół Trybunału Konstytucyjnego dotyczy między innymi kwestii pierwszeństwa prawa unijnego przed prawem polskim.

ZAKUPY ZŁOTA PRZEZ POLSKĘ WPISUJĄ SIĘ W SZERSZĄ TENDENCJĘ DO DYWERSYFIKOWANIA REZERW I OGRANICZANIA ZALEŻNOŚCI OD DOLARA.

Jeszcze większą ironią byłoby to, gdyby Adam Glapiński został uznany za winnego w Polsce, a następnie odwołał się do Trybunału Sprawiedliwości UE. Jednym z zarzutów wobec niego jest bowiem monetyzacja

eprasa.pl 08cfe9cbca

długu publicznego. Tymczasem podobne działania podejmowały w tym samym okresie 23 inne państwa europejskie. Trybunał Sprawiedliwości UE orzekł już, że tego rodzaju działania nie stanowiły złamania prawa. W takim scenariuszu mogłaby więc powstać sprzeczność między orzeczeniem polskim a wcześniejszym orzecznictwem europejskim.

wało coraz więcej kapitału, a rozwijająca się gospodarka generowała rosnące wpływy podatkowe. Wzrost gospodarczy pomagał więc obsługiwać zadłużenie. Jeśli jednak tempo wzrostu zacznie spadać, ciężar długu pozostanie, natomiast zabraknie dodatkowego wzrostu, który uzasadniałby ponoszenie coraz wyższych kosztów jego obsługi. Może to doprowadzić do sytuacji przypominającej błędne koło zadłużenia, określane po angielsku jako „debt doom loop" – mechanizm, w którym wysokie zadłużenie i rosnące koszty jego obsługi pogarszają sytuację gospodarczą, co z kolei jeszcze bardziej utrudnia kontrolowanie długu.

Z podobnym zagrożeniem mierzą się obecnie Francja, Wielka Brytania, a do pewnego stopnia również Stany Zjednoczone. Uważam więc, że Polska znajduje się w dość niebezpiecznym momencie i nie sądzę, aby dalsze zwiększanie zadłużenia było dobrym pomysłem. Ta kwestia stanie się jeszcze pilniejsza, jeśli w nadchodzących latach tempo wzrostu gospodarczego zacznie wyraźnie hamować.

MODEL WZROSTU GOSPODARCZEGO OPARTY NA NADRABIANIU DYSTANSU DO BARDZIEJ ROZWINIĘTYCH PAŃSTW ZACZYNA STOPNIOWO WYCZERPYWAĆ SWÓJ POTENCJAŁ.

– Jak Pani ocenia stan polskich finansów publicznych? Czy obecny poziom zadłużenia powinien budzić niepokój? A może to normalny etap cyklu ekonomicznego?

– Przyznam, że zaczyna mnie to niepokoić. Problem polega na tym, że Polska znajduje się na etapie, w którym dotychczasowy model wzrostu gospodarczego oparty na nadrabianiu dystansu do bardziej rozwiniętych państw zaczyna stopniowo wyczerpywać swój potencjał. Zbliżamy się już do poziomu PKB osiąganego przez niektóre z najbardziej rozwiniętych gospodarek. Oznacza to, że czasy stosunkowo łatwego wzrostu gospodarczego mogą dobiegać końca. Wzrost gospodarki nadrabiającej zaległości rozwojowe jest czymś zupełnie innym niż wzrost gospodarki dojrzałej. Nie bez powodu Francja, Niemcy czy Wielka Brytania mają obecnie tak poważne problemy gospodarcze. Pytanie brzmi, czy Polska będzie dysponowała jakąś szczególną przewagą nad tymi krajami. Dotychczasowy szybki wzrost pozwalał Polsce zwiększać zadłużenie, ponieważ jednocześnie napły-

Izabella Kamińska – brytyjska dziennikarka finansowa i ekonomiczna. Jest wydawcą serwisu analitycznego The Blind Spot, publikuje również na łamach „The Telegraph". W przeszłości związana m.in. z „Financial Times", w którym była wydawcą bloga FT Alphaville.

11.11.2026 MICHALSKI



eprasa.pl 08cfe9cbca

Krytyka świętego spokoju



Proj. K. Karnkowski

Markowanie rozmów z rozgniewanym społeczeństwem to chwyt stosowany przez władzę od dawna. Udawać dobrą wolę, przeciągać sprawę i usypiać nastroje, aż wszystko rozejdzie się po kościach – nikt nie zna tej taktyki lepiej niż związki zawodowe i aktywistyczne NGO-sy. Choć wydaje się to oczywiste, niektóre partie opozycyjne zachowują się tak, jakby nie miały o niej pojęcia. A może doskonale ją znają, tylko **świadomie uczestniczą w tej maskaradzie**, licząc na poparcie „elektoratu świętego spokoju”?

Ludwik Pęziot

Na zamach stanu Donalda Tuska opozycja zareagowała dwojako. Pierwsza jej część – bojowo. Nie wolno pozwalać, by siłą i wbrew prawu przejmowano instytucje. Trzeba walczyć, uświadamiać społeczeństwu, co się stało, i utrudniać uzurpatorom życie, bo bierność oznacza przyzwolenie na dalsze bezprawie. Druga część kontestuje taki sposób działania i przekonuje: zabawa w „odbijanego” z Trybunałem nie może przecież trwać wiecznie. Trzeba usiąść do stołu i pertraktować, by rozwiązać sprawę w sposób akceptowalny dla wszystkich. A zresztą – Polacy są już zmęczeni tą całą wojną.

O! I właśnie ten wątek „zmęczonych Polaków” warto rozwinąć.

Propaganda bierności

Polska nigdy nie była krajem rewolucyjnego temperamentu. Rozpisywał się o tym w „Myślach nowoczesnego Polaka” Roman Dmowski, a Józef Stalin kierował do polskich komunistów słynne słowa, że gdyby nie pomoc Armii Czerwonej, polska reakcja „czapkami by ich nakryła”. Bunt Polaków nigdy nie przybierał tak krwawej postaci jak w innych częściach Europy: Francji, Anglii czy Hiszpanii. Na nieporównywalnie mniejszą skalę działały u nas organizacje, które można by uznać za terrorystyczne, siejące zamęt w imię ideologii. Poza kilkoma

eprasa.pl 08cfe9cbca

wyjątkami trudno było też zmobilizować wielkie rzesze Polaków do manifestowania niezadowolenia, choćby z polityki gospodarczej rządu. Co tu dużo gadać – trudno nas zwlec z foteli po (zwykle ciężkim) dniu pracy. Ma to swoje zalety i wady: mniej zamieszek i przelanej krwi, ale też mniejszy strach rządzących przed gniewem ulicy. A to zachęca władzę do samowolki – zarówno wobec obywateli, jak i instytucji.

Tym bardziej dziwi fakt, że w tak spokojnym kraju łatwo jest rozniecić lęk przed „wojną domową" i „straszliwym radykalizmem". Nieustannie głównie ze strony liberalnej (w różnych jej odmianach) słychać trwożliwe nawoływania, że czym prędzej musimy się uspokoić i rozpocząć dialog, bo „Polska pęknięta na pół", „polaryzacja", „nienawiść" i tak dalej. Tymczasem na tle niepokojów społecznych w innych częściach świata nasze doświadczenia po 1989 roku wyglądają wręcz jak obraz oazy spokoju. Wyobrażenie społeczeństwa, w którym panuje powszechna zgoda, jest zaś – łagodnie mówiąc – infantylne i niedorzeczne. Przecież w życiu publicznym zawsze ścierają się sprzeczne interesy, choćby ekonomiczne, więc gołąbek pokoju nigdy nie nadleciał i nie nadleci. Jedyne, co można osiągnąć, to łagodzenie tych tarć lub chwilową pauzę z okazji nadzwyczajnych dla życia narodu wydarzeń.

Warto też zauważyć, że rzekomy „społeczny spokój" zawsze służy przede wszystkim jednej ze stron. Zwykle liberalnej, bo „interesy lubią ciszę", a biznes chce, by pracownicy pokornie się podporządkowali, a lud nie protestował, kiedy ładuje mu się do głowy łopatą ideologię globalnego postępu. Postępu, na którym puchną portfele „elit". Chętnie więc liberałowie używają propagandy świętego spokoju, ubierając ją w szatki najbardziej „rozsądnej", „racjonalnej" i „cywilizowanej". Na naszą, wytykaną już przez Dmowskiego, narodową bierność pada to jak na podatny grunt. I nagle aktywizm – zwłaszcza konserwatywny, ludowy, narodowy czy „emerycki" – staje się powodem do wstydu, obiektem kpin i czymś, od czego należy się odżegnywać.

Czas walki

Mając na uwadze zarysowane wcześniej tło, łatwiej zrozumieć, dlaczego miasteczko pod Trybunałem Konstytucyjnym oraz odbywające się tam i w innych częściach Polski protesty nie męczą tak bardzo samych protestujących, jak właśnie obserwatorów: biednych, zmęczonych telewidzów i internautów. Wciąż muszą oni oglądać przebitki z tych protestów! Cóż za udręka! Tyle że ta rzekoma „udręka" jest właśnie efektem masowej propagandy, którą od kilkudziesięciu lat wlewa się Polakom do głów w imię obrony status quo, w większości niekorzystnego dla ich własnych interesów.

Cóż, trzeba to wreszcie jakoś zakończyć. Usiąść przy wspólnym stole (dowolnego kształtu) i się dogadać. Problem polega jednak na tym, że władza wcale nie zamierza się dogadywać. Nie po to przecież przeprowadza się zamach stanu, by kilka tygodni później oddawać zdobyty łup. Wydaje się to oczywiste, a jednak najwyraźniej wielu osobom umyka. Samo prowadzenie rozmów stwarza natomiast fałszywą nadzieję i strona protestująca mimowolnie robi krok wstecz, podczas gdy władza spokojnie utrwala zdobycze zamachu i przejmuje Trybunał przez „zasiedzenie".

Ten mechanizm mogliśmy obserwować choćby przy okazji zaproszeń Donalda Tuska kierowanych do prezydenta Karola Nawrockiego czy rozmów Władysława Kosiniaka-Kamysza ze Sławomirem Mentzenam. Strona uzurpatorska obsadza się w roli tej „rozsądnej", a każdy, kto nie chce „rozmawiać", zostaje przedstawiony jako człowiek rozgorączkowany i nieodpowiedzialny. Oczywiście wbrew rzeczywistemu stanowi rzeczy. Bo prawdziwym skutkiem tej gry jest stopniowe wytracanie energii społecznej, która stanowi dla władzy zagrożenie. Zachowując wszelkie historyczne proporcje, sam mechanizm przypomina działania komunistów przed stanem wojennym: rozmawia się z opozycją, deklaruje wolę porozumienia, a po cichu przygotowuje operację wymierzoną przeciwko własnemu narodowi.

> Rzekomy „społeczny spokój" dziś służy przede wszystkim **stronie liberalnej**.

Co robić?

Na taktykę władzy opozycja powinna odpowiedzieć własną taktyką. Nie może dać się wciągnąć w grę Tuska, który wysłał swoje polityczne przystawki na pseudorozmowy, licząc na doraźne korzyści. Zamiast tego powinna wymyślić coś własnego. A to wcale nie jest trudne.

Reforma Trybunału czy reset instytucjonalny nie muszą być złymi pomysłami. Problem polega na tym, że debatowanie o nich właśnie teraz, gdy władzę należy przycisnąć do ściany i pokazać jej, że społeczeństwo nie akceptuje opresyjnych praktyk, sprawia, iż wszystko uchodzi jej na sucho. I nie chodzi tu ani o zemstę, ani o wymierzanie kary. Chodzi o coś znacznie bardziej podstawowego: realna możliwość przeprowadzenia resetu pojawi się dopiero po zmianie władzy. A jej zmiana – jeśli ma nastąpić w trybie wyborczym – wymaga walki. Bez walki nie będzie ani zmiany władzy, ani żadnego resetu.

I o tym powinni pamiętać wszyscy liderzy opozycji.

eprasa.pl 08cfe9cbca

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Piwo pod blokiem, dewastacje, osiedlowe układy i demonstracyjne lekceważenie sąsiadów. Blokersi – zmora osiedli i jeden z symboli społecznych przemian przełomu wieków. Skąd wziął się ten fenomen? Tomasz Kurtz szukał odpowiedzi na łamach „TS” (**nr 30 [619] z 28 lipca 2000 r.**) w realiach wczesnego polskiego kapitalizmu. Przypominamy ten tekst z okazji 45-lecia naszego pisma.

Blok moim domem

Tomasz Kurtz

Nie występują w pojedynkę. Chodzą zazwyczaj po 5–6 osób. Z reguły chłopcy, chociaż czasami jest między nimi dziewczyna. Rozpoznają wszystkich mieszkańców, ale witają się z nielicznymi. Ludzi dzielą na swoich i obcych. Znają każdy zaułek osiedla. Swoim zachowaniem często budzą strach. Blokersi. Wytwór socjalistycznego budownictwa i współczesnej popkultury.

Traktują blok i jego otoczenie, a często całe osiedle, jako swoją własność. Oni są tu panami i ustalają reguły gry. Niechcącym się podporządkować utrudniają życie. Doskonale wiedzą, że wokół nich żyje kilkaset osób, ale nie chcą tego zaakceptować. Niech wiedzą, kto tu rządzi. Sąsiadów jakby nie było, w każdym razie trzeba ich „olać”, jak się np. chce na full słuchać muzyki albo zrobić imprezę.

Ja tu rządzę!

– Przecież mam prawo robić, co mi się podoba, jestem wolnym człowiekiem! – mówią młodzi. Poczucie fałszywej wolności i brak kontroli społecznej szybko prowadzą do zachowań poniżej normy przyzwoitości, a już na pewno dobrego sąsiedztwa. Lekceważenie otoczenia objawia się w różny sposób. Co z tego, że gnieżdżę się w czterometrowym pokoju, mam za to sprzęt zdolny nagłośnić salę gimnastyczną; trzeba się nim pochwalić. Raz na jakiś czas zrobić imprezę z dużą ilością piwa i zawodami, kto dalej rzuci butelką albo stanie na parapecie i będzie sikał z siódmego piętra. Ktoś się „burzy”? To jego problem. Nagminne jest też psucie urządzeń ułatwiających życie mieszkańcom. Zatkany zsyp albo przewód kominowy, podpalone przyciski w windach i domofonach, wyrwane klamki, pogięte pręty w poręczach i pocięta siatka zabezpieczająca, wybite szyby. To daje poczucie władzy. Oto jednym czynem podporządkowałem sobie cały blok. Jakąż satysfakcją jest obserwowanie potem irytacji lokatorów.

Bunt przeciw światu jest dla młodzieży normalnym zjawiskiem, ale wśród wcześniejszych pokoleń kontestacja kultury tradycyjnej prowadziła z reguły do powstania kultury alternatywnej. Teraz bunt objawia się werbalnie, jest tylko krytyką, która nie ma na celu zmiany świata. Brak konstruktywnych propozycji, bo ich kreowanie jest zbyt trudne dla współczesnej młodzieży. Destrukcja jest najczęstszą i wielekroć niestety jedyną formą kontestacji świata przez blokersów. Oczywiście, prawi i spokojni lokatorzy słusznie oburzają się na dewastacje, ale czy nie należałoby się zastanowić nad przyczynami? Czy ta młodzież nie woła w ten sposób o pomoc? Może nie potrafi inaczej, tak jak nie umie porozumieć się z rodzicami, a konflikty rozwiązuje przemocą, bo nie potrafi podjąć dialogu?

– Przyczyn buntu może być wiele – uważa Małgorzata Kopczyńska z Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego. – Młodzież widzi zapracowanych i ciągle niezadowolonych rodziców. Na osiedlach bardziej widoczne jest rozwarstwienie materialne. Bardziej wrażliwi wyrażają swój sprzeciw w muzyce. Masowo powstają utwory rapowe. Trudno je zaliczyć do muzyki, są to właściwie deklamacje tekstu na tle sekcji rytmicznej. Wyrażają one sprawy i problemy dnia codziennego, ale są też nieco głębsze, np. mówią

eprasa.pl 08cfe9cbca


Ostatni wywiad Herlinga-Grudzińskiego
str. 9
Tygodnik Solidarność
Nr 30 (619) 28 lipca 2000 r. Cena 2,50 zł
BLOKERSI
str. 13


SPOŁECZEŃSTWO
Blok moim domem
Nie występują w pojedynkę. Chodzą zazwyczaj po 5-6 osób. Z reguły chłopcy, chociaż czasami jest między nimi dziewczyna. Rozpoznają wszystkich mieszkańców, ale witają się z nielicznymi. Ludzi dzielą na swoich i obcych. Znają każdy zaułek osiedla. Swoim zachowaniem często budzą strach. Blokersi. Wytwór socjalistycznego budownictwa i współczesnej popkultury.
Ja tu rządzę!
Być czy mieć?
Trzepak, piaskownica i huśtawka
13

o bezsensie życia, porównują blok do więzienia.

– Te teksty są odbiciem·świadomości pokolenia żyjącego w blokach. Widzą oni różnice społeczne, które dla nich są pochodną statusu materialnego. Wyrażają jednocześnie jakąś bezsilność, niemożność zmiany. To nie jest prawda, zmiana jest możliwa, ale w perspektywie ich myślenia i działania niestety nie. Młodzi nie znają historii, a więc np. walki ich rodziców o własne M3. Nie wiedzą, że mieszkanie w bloku jeszcze kilkanaście lat temu to był luksus i powód do zazdrości. Teraz młodzież uważa, że życie w bloku to wegetacja, że jest skazana na taki los. Zazdrości kolegom, którzy mieszkają w domkach i w zamkniętych ogrodzonych osiedlach. Mieszkańcy zwykłych bloków czują się coraz częściej zastraszeni przez „rozwydrzoną młodzież". Nie tylko nie protestują, nie interweniują, ale po prostu odwracają się i zamykają w swoich czterech ścianach. Dominuje poczucie strachu, lęk przed zemstą.

– Wieczorem nigdy nie wychodzę – mówi starszy pan z osiedla Bocianek w Kielcach. – Jeszcze by mnie pobili, zabrali klucze, okradli mieszkanie.

Czy grożą nam osiedla opanowane przez agresywnych blokersów, w obawie przed którymi normalni ludzie będą się bali wyjść z domu? Kto pomoże – policja, służby ochronne?

– Mamy mapę rejonów szczególnie zagrożonych, należą też do nich osiedla, ale działania interwencyjne to nie wszystko – mówi Jakub Kosiń, naczelnik Wydziału Prewencji Komendy Wojewódzkiej w Kielcach. – W dłuższej perspektywie opłaca się prewencja. W województwie działa, zakrojony na szeroką skalę, program „Bezpieczne Świętokrzyskie". Jego celem jest ograniczenie przestępczości i zwiększenie zaufania do policji.

Trzepak, piaskownica i huśtawka

W swoim twórczym zapędzie socjalistyczni projektanci przewidzieli tylko jedno oficjalne miejsce spotkań dla młodzieży – kluby osiedlowe. Wiele z nich już nie istnieje, część przebudowano na punkty usługowe, gabinety kosmetyczne, siłownie itp. Blokersów można więc spotkać koło trzepaka, piaskownicy, na huśtawce, zjeżdżalni.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Takie infantylne zachowania są wyrazem tęsknoty za beztroskim dzieciństwem i zarazem chęcią uwolnienia się choć na chwilę od rzeczywistości. Ucieczkę zapewnia też alkohol. Puszka piwa to nieodłączny atrybut w ręku blokersa, niemal część jego wyglądu. To go odróżnia od mętów i pijaczków, którzy zwykle raczą się tanim winem. Ważne miejsca dla blokersów to również sklep, kiosk i garaże.

– Przychodzą głównie wieczorem i kupują piwo – mówi o blokersach sprzedawczyni na Osiedlu Świętokrzyskim w Kielcach. – Właściwie reszta sklepu mogłaby być zamknięta, nikt nie bierze o tej porze mleka czy chleba.

„Zrobienie” kiosku, sklepu czy bazarku, włamanie do samochodu, to dla niektórych blokersów codzienność.

– Włamania często nie przynoszą dużych strat materialnych, za to dają rozgłos wśród rówieśników – uważa policja. Ważne, żeby mieć pewien teren pod kontrolą i w razie czego móc gdzieś zwiać. Dlatego im więcej na osiedlu takich kiosków, bud, garaży, tym ciekawiej – jest gdzie narozrabiać.

Najważniejszym miejscem spotkań blokersów jest klatka schodowa na parterze – wejście do bloku. Tu nikt i nic nie umknie uwagi. Teren jest neutralny, wspólny, nikt zatem nie może się doczepić i zapytać „Co ty tu robisz?”. Niektórym to ciągłe stanie w przejściu przeszkadza, ale na zwróconą uwagę mogą usłyszeć np.: „Morda, dziadku!”. Żyją w świecie, gdzie obowiązuje zasada: liczę się ja i moje interesy. Nikt mi nie może zabronić tego, co chcę robić.

– Fakt nieznajomości norm społecznych jest przyczyną wielu wykroczeń młodzieży przeciw prawu – uważa podkom. Olga Grądzka z Komendy Miejskiej w Kielcach. Blokersi nie wiedzą, co jest zabronione, nie chcą się podporządkować władzy ani dostosować do społeczności lokalnej. Nie uznają również autorytetów. Stąd wynikają konflikty. Gdy starsze osoby zwracają im uwagę, młodzi mówią: a kto mi zabroni? Rodzice boją się przeważnie bałaganu i zbyt długich rąk kolegów, stąd akceptują wysiadywanie swoich dzieci na klatkach.

– Nie zapraszam nikogo do domu, bo starzy mają cyka ra – mówi jeden z chłopców spod bloku. – Jeszcze mi taki co zniszczy, dywan pobrudzi albo co wyniesie. Teraz to strach kogoś wpuszczać do domu – mówi matka siedemnastoletniej dziewczyny. Wie, że córka łazi z grupą znajomych po osiedlu, ale bezradnie rozkłada ręce. – Przecież jej nie przywiążę. Dobrze, że przynajmniej na noc do domu wraca.

Matka nie potrafi powiedzieć, czym interesuje się córka, wie natomiast, na co wydaje pieniądze: – Trzecią parę butów w tym roku kupiła, a te szminki, pudry, lakiery? Ja już za nią nie nadążam.

BLOKERSI NIE SĄ SENSU STRICTO SUBKULTURĄ, BO – ZDANIEM SOCJOLOGÓW – NIE STANOWIĄ SPÓJNEJ GRUPY SPOŁECZNEJ, BĘDĄCEJ NA MARGINESIE ŻYCIA SPOŁECZNEGO, WYRAŻAJĄCEJ SWOJĄ ODRĘBNOŚĆ PRZEZ ZANEGOWANIE LUB PODWAŻENIE UTRWALONYCH I POWSZECHNIE AKCEPTOWANYCH WZORÓW KULTURY.

„ZROBIENIE” KIOSKU, SKLEPU CZY BAZARKU, WŁAMANIE DO SAMOCHODU, TO DLA NIEKTÓRYCH BLOKERSÓW CODZIENNOŚĆ.

Być czy mieć?

To filozoficzne pytanie zostało dziś boleśnie wykrzywione. Większość młodych ludzi uważa, że aby być, trzeba mieć. Ciuchy, kasety, sprzęt elektroniczny, rowery, rolki, deski – wyposażenie się w te akcesoria ma swoją cenę. Nie można być skejtem, nie mając deski, długiej koszulki i spodni z krokiem w okolicach

eprasa.pl 08cfe9cbca

kolan. Wszystko koniecznie firmowe, oryginalne. Pokazać się przed blokiem w zwykłych rzeczach? Nie, to obciach. Mieszkające w blokach nastolatki przeżywają dylematy drogi życiowej. Czy zostać robolem za niewielkie pieniądze, czy zdobyć na drodze nielegalnego handlu, czy ukraść? Z ich punktu widzenia nie ma to znaczenia, rozmywa się bowiem gdzieś poczucie moralności, co wolno, a czego nie. „Dołujący" jest dla nich szary dzień i perspektywa życia w bloku. Rozrywka jest wtedy, gdy coś się dzieje (rozróby, zadymy). Rozmowy sprowadzają się do marzeń i odpowiedzi na pytanie – jak i skąd zdobyć kasę? „Zdobyć" to nie znaczy zarobić. Pojęcie zarabiania przez pracę, w taki sposób, jak to robili rodzice, jest dziś tej młodzieży obce, a perspektywa dorabiania się latami – zbyt odległa. Liczy się ten, kto ma pieniądze szybko. Nieważne jak zdobyte.

Blokersi nie są sensu stricto subkulturą, bo – zdaniem socjologów – nie stanowią spójnej grupy społecznej, będącej na marginesie życia społecznego, wyrażającej swoją odrębność przez zanegowanie lub podważenie utrwalonych i powszechnie akceptowanych wzorów kultury. Blokersi nie są spójni i nie zawsze są z marginesu. Mają różny status społeczny i materialny. Niekiedy znajdują się wśród nich przedstawiciele innych subkultur, np. skejterzy, szalikowcy, zakręceni, skini czy narodowcy. Życie blokersów ma też swoje reguły, chociaż nie są one ani spisane, ani wyartykułowane. Trzeba być po prostu cool. To słowo wytrych, uniwersalne określenie akceptacji wszystkiego i wszystkich. Jeśli jakiejś osoby zachowanie, ubiór, posiadany przedmiot wzbudzają podziw, zachwyt czy respekt, jest cool. Np. nie wypada się pokazać w byle jakim ubraniu, wyjść po zakupy (starzy niech robią), wychodzić i przychodzić z rodzicami (najwyżej można wyjść z psem). Grupa stojąca przed blokiem daje poczucie wspólnoty, chociaż jest to często wspólnota „tu i teraz". Imponuje towarzystwo, nacisk grupy jest ogromny, znikoma kontrola ze strony rodziców – to wszystko prowadzi do podporządkowania się osiedlowej grupie. O skali tego zjawiska łatwo się przekonać – wystarczy zaobserwować na własnym osiedlu jednakowo ubraną i zachowującą się młodzież. Zdumiewa *urawniłowka*, jak we wczesnym PRL-u, mimo że żadna władza do tego nie zmusza.

Z czasem większość blokersów staje się „normalsami" – zakładają grzeczne ubrania i idą do szkoły czy pracy. Nie wysiadują już po klatkach, pchają wózki z dziećmi. Godzą się z mieszkaniem w bloku, nawet mając uciążliwych sąsiadów i teściową w pokoju obok. Porzucają modę i ideologię, ale nadal liczą na pieniądze. Oglądają ekskluzywne domy i mają nadzieję, że może kiedyś... Ci zaś, którzy się nie załapali, zostają w tyle. Blokersi seniorzy piją z żalu do świata, że im się nie udało. Też zazdroszczą tym lepszym i próbują im dorównać. Oby zdążyli.

BLOKERSÓW MOŻNA SPOTKAĆ KOŁO TRZEPAKA, PIASKOWNICY, NA HUŚTAWCE, ZJEŻDŻALNI. TAKIE INFANTYLNE ZACHOWANIA SĄ WYRAZEM TĘSKNOTY ZA BEZTROSKIM DZIECIŃSTWEM I ZARAZEM CHĘCIĄ UWOLNIENIA SIĘ CHOĆ NA CHWILĘ OD RZECZYWISTOŚCI.

MATKA NIE POTRAFI POWIEDZIEĆ, CZYM INTERESUJE SIĘ CÓRKA, WIE NATOMIAST, NA CO WYDAJE PIENIĄDZE: – TRZECIĄ PARĘ BUTÓW W TYM ROKU KUPIŁA, A TE SZMINKI, PUDRY, LAKIERY? JA JUŻ ZA NIĄ NIE NADĄŻAM.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Kraj

Karol KONTRA Urszula

Karol Nawrocki staje się jedną z głównych twarzy **prawicowej rekonkwisty**, czyli przywracania Unii Europejskiej obywatelom, powrotu do tradycyjnych wartości oraz odzyskania niezależności państwom narodowym. Szefowa Komisji Europejskiej, odmawiając wspólnej konferencji z głową polskiego państwa, bardzo wyraźnie wyznaczyła linię podziału.

Mariusz Staniszewski



Prezydent Węgier András Baka, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, prezydent Słowacji Peter Pellegrini, prezydent Czech Petr Pavel oraz prezydent Polski Karol Nawrocki pozują do wspólnego zdjęcia podczas oficjalnej ceremonii powitania w ramach szczytu prezydentów państw Grupy Wyszehradzkiej (V4) na Zamku w Trenczynie (Słowacja), 5 listopada br.

Fot. AA/ABACA / Abaca Press / Forum

eprasa.pl 08cfe9cbca

O randze polityka najczęściej świadczą jego wrogowie. Jeśli za osobistego przeciwnika Ursula von der Leyen uznała Karola Nawrockiego, to znaczy, że jego rola w Europie wzrosła. Nie tylko dlatego, że ostro przeciwstawił się łamaniu prawa przez rząd Donalda Tuska, którego szefowa KE wspiera w każdym wymiarze.

Znacznie bardziej istotny jest sposób rozumienia polityki oraz jej codzienne wprowadzanie w życie. To zaprzeczenie celów oraz metod stosowanych przez europejski establishment.

W imię solidarności

Do spięcia doszło podczas spotkania Grupy Wyszehradzkiej w słowackim Trenczynie. Najpierw szefowa Komisji Europejskiej zupełnie normalnie uczestniczyła w rozmowach prezydentów Polski, Czech, Węgier i Słowacji, potem miała wystąpić na wspólnej konferencji prasowej z Karolem Nawrockim. W ostatniej chwili jednak odwołała swój udział, przemycając do mediów informację, że ma to być gest solidarności z Donaldem Tuskiem, który skonfliktował się z prezydentem.

Niegroźny pozornie afront niesie za sobą jednak bardzo daleko idące konsekwencje. Tym gestem Ursula von der Leyen otwarcie włączyła się w polską politykę wewnętrzną. Nawet nie próbowała udawać, że szanuje suwerenny wybór obywateli Rzeczpospolitej, którzy w demokratycznym głosowaniu wybrali głowę państwa.

Jednocześnie autoryzowała bezprawne, siłowe przejęcie Trybunału Konstytucyjnego przez premiera Tuska. Pokazała więc, że nie tylko stosuje inne standardy wobec rządów lewicowo-liberalnych niż wobec konserwatywnych, lecz także uznaje bezprawie za dopuszczalną formę utrzymywania władzy. Unikając konfrontacji z Karolem Nawrockim, uniknęła konieczności jasnego wyrażania opinii w tej sprawie. Mogła być niemal pewna, że polski prezydent poruszy tę kwestię i zmusi szefową KE do skomentowania sytuacji w Polsce i stosowania przez nią podwójnych standardów.

Fundamentalna konfrontacja

Był przynajmniej jeszcze jeden powód, dla którego Ursula von der Leyen nie chciała wystąpić wspólnie z Karolem Nawrockim. Podczas obrad V4 musiała wysłuchać wystąpienia prezydenta RP i z pewnością nie były to dla niej miłe chwile. Proponując plan naprawy Unii Europejskiej, polski polityk przedstawił strategię diametralnie różną od agendy realizowanej przez obecną Komisję Europejską.

W przemówieniu tym Karol Nawrocki zaproponował odejście lub przynajmniej znaczące ograniczenie ETS i ETS2, rezygnację z polityki Zielonego Ładu, powstrzymanie tworzenia unijnego superpaństwa, wzmocnienie państw narodowych, ograniczenie kompetencji KE i zmianę polityki migracyjnej. Tu pozwolił sobie na porównanie stanu bezpieczeństwa miast Polski i tych w starej Unii, przyznając, że nasz kraj nie popełnił błędów Zachodu.

Przekaz polskiej głowy państwa był jasny – należy odbudować europejski przemysł, a to może się udać, gdy natychmiast UE zrezygnuje z szaleńczej polityki energetyczno-klimatycznej prowadzonej przez Unię Europejską, a której von der Leyen jest twarzą. Od ideologii ważniejsi są obywatele, których decyzje obecnej Komisji Europejskiej pozbawiają miejsc pracy i powodują wzrost kosztów życia.

Ursula von der Leyen mogła się spodziewać, że Karol Nawrocki powróci do tych kwestii, a jeśli nawet powstrzymałby się przed bezpośrednią konfrontacją, z pewnością zapytaliby o to dziennikarze. Tak czy inaczej szefowa KE musiałby wejść z prezydentem w polemikę, z której nie wyszłaby zwycięsko, gdyż obiektywnie polityka UE prowadzi europejską gospodarkę do katastrofy.

Twarz wroga

Otwarte i jasne artykułowanie celów, jak zrobił to w Trenczynie Karol Nawrocki, jest zaprzeczeniem istoty unijnej polityki. Zasadą obowiązującą w UE jest ukrywanie prawdziwych celów pod hasłami walki o klimat, ochronę środowiska, prawa kobiet, swobody obywatelskie, wolność słowa, przestrzeganie zasad demokracji, zachowanie praworządności itp. Oficjalna argumentacja jest przeznaczona dla idiotów oraz wyborców o poglądach lewicowych i liberalnych. Prawdziwa rozgrywka dokonuje się w cichych salonach, do których nie mają wstępu przedstawiciele mniejszych państw oraz frajerzy przekonani o tym, że nikt ich w Europie nie ogra i wierzący w istnienie europejskiej solidarności.

SZEFOWA KOMISJI EUROPEJSKIEJ NIE CHCE POROZUMIENIA Z POLSKĄ, GDYŻ TO OZNACZAŁOBY TRAKTOWANIE WARSZAWY JAK PARTNERA.

Karol Nawrocki, ale także inni przywódcy partii prawicowych w Hiszpanii, we Francji, Włoszech, na Słowacji, a także w Niemczech, uznają, że

eprasa.pl 08cfe9cbca

polityka powinna służyć obywatelom, a przez to wzmacniać państwa narodowe. Dlatego decyzje nie powinny zapadać w gronie unijnych biurokratów, ale w gabinetach premierów i ministrów krajów członkowskich. Tylko w ten sposób można uratować europejski przemysł oraz zachować demokrację, której Komisja Europejska jest zagorzałym przeciwnikiem. Udowodniła to wiele razy, ignorując choćby referenda w Irlandii i Grecji.

Sama zresztą nie posiada żadnego mandatu demokratycznego, który dawałby jej legitymację do podejmowania decyzji, których skutki odczuwają wszyscy mieszkańcy UE. Jest raczej emanacją europejskiej oligarchii, która w żaden sposób nie reprezentuje interesów poszczególnych państw, a tym bardziej zwykłych ludzi.

Na dziś ta prawicowa rekonkwista ma więc w Europie twarz Karola Nawrockiego i w pewnej mierze Giorgii Meloni. Włoska premier, choć często krytykuje Komisję Europejską za politykę migracyjną i klimatyczną, stara się jednak unikać z nią otwartego konfliktu. W pamięci ma z pewnością sposób, w jaki Angela Merkel i Nicolas Sarkozy usunęli z urzędu nieżyjącego już premiera Silvia Berlusconiego, wsadzając na jego miejsce swojego kandydata.

Polski prezydent, który prowadzi ostry spór polityczny z Donaldem Tuskiem, protegowanym Ursuli von der Leyen, wie doskonale, że dla niego żadne balansowanie nie ma sensu. Szefowa Komisji Europejskiej nie chce porozumienia z Polską, gdyż to oznaczałoby traktowanie Warszawy jak partnera. Celem Brukseli jest natomiast podporządkowanie Polski, co Tusk zapewnia całkowicie. Będzie więc go bronić do końca.

Alians prawicy

Niechęć Ursuli von der Leyen do Karola Nawrockiego ustawia go w szeregu polityków, których obecny unijny establishment uznaje za niebezpiecznych. Obok niego mogą się wkrótce znaleźć liderzy hiszpańskiej prawicy Alberto Núñez Feijóo, szef Partii Ludowej, wraz z Santiago Abascalem, kierującym partią Vox.

Sojusz obu formacji ma największe szanse, by zwyciężyć w przedterminowych wyborach parlamentarnych, które odbędą się 29 listopada. Jeśli sondaże dające hiszpańskim konserwatystom przewagę się sprawdzą, szefowa KE straci ważnego sojusznika, jakim jest obecny, skrajnie lewicowy premier Pedro Sánchez.

Wiosną przyszłego roku do tego grona może dołączyć Marine Le Pen, która obecnie ma największe szanse, by wygrać wybory prezydenckie we Francji. Nadciągająca zmiana widoczna jest także w Niemczech, w których AfD wygrało wybory lokalne w trzech landach.

Polska prawica liczy, że na tej fali – jeśli oczywiście będzie ona wzbierać – także przejmie władzę po wyborach w październiku przyszłego roku.

Taki scenariusz to czarny sen Ursuli von der Leyen, gdyż zwycięstwo prawicy w trzech lub czterech dużych państwach członkowskich oznaczałoby zatrzymanie procesu integracji Unii Europejskiej, poszerzania kompetencji KE i powstrzymanie klimatystycznego szaleństwa. Zwłaszcza że z pewnością taki program wsparłoby kilka mniejszych krajów – choćby Słowacja, Czechy czy Bułgaria.

W tej rozgrywce Karol Nawrocki już odgrywa pierwszoplanową rolę, gdyż wszedł na scenę jako pierwszy i to jego dziś kontestuje szefowa Komisji Europejskiej. Bardzo duże znaczenie ma tu determinacja, jaką wykazał się prezydent w czasie siłowego przejmowania TK przez premiera Tuska. Zawrócenie samolotu lecącego do Senegalu, osobiste przełamanie policyjnego kordonu, zruganie premiera na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego zostało zauważone na całym świecie i musiało zrobić wrażenie zarówno w Brukseli, jak i w Berlinie, Paryżu, Madrycie czy Rzymie. Na szczycie państw Grupy Wyszehradzkiej był przyjmowany bardzo ciepło i z uznaniem. To także musiało zaboleć Ursulę von der Leyen.

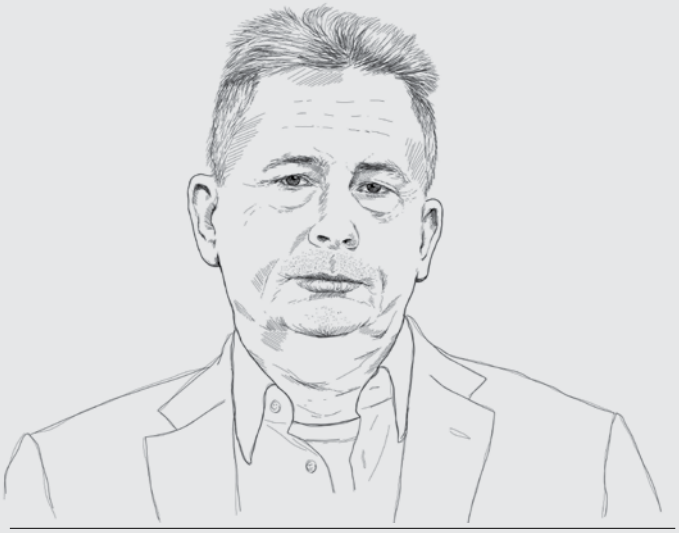
Jej uwadze nie mógł umknąć także fakt, że na Słowację polski prezydent zabrał przedstawicieli kilku prawicowych partii, którzy przysłuchiwali się obradom. W pewnym sensie Karol Nawrocki przygotowywał ich do nowych ról, jakie mogą pełnić po przyszłorocznych wyborach. Pokazał się również jako patron scalający środowiska konserwatywne w Polsce, które za główny cel obrały odsunięcie od władzy Donalda Tuska.

Dla nich niechęć do Nawrockiego ze strony szefowej KE jest raczej dowodem jego wiarygodności. Ursula von der Leyen w pewnym sensie przyczyniła się więc do integracji polskiej prawicy.

Podobnie z pewnością ten afront odbiorą liderzy partii konserwatywnych w całej Europie. Nie był on dowodem słabości polskiego prezydenta, ale raczej niemieckiej polityk. To ona przestraszyła się konfrontacji z młodym, silnym liderem, gdyż doskonale wiedziała, że nigdy nie oswoi go jak Donalda Tuska.

> NIECHĘĆ DO KAROLA NAWROCKIEGO ZE STRONY SZEFOWEJ KE JEST RACZEJ DOWODEM JEGO WIARYGODNOŚCI.

eprasa.pl 08cfe9cbca



Piotr Skwieciński

Suwerenność, czyli anachronizm

Kto ingeruje w wewnętrzną politykę innych państw? To oczywiste, odpowiedzą Czytelnicy – ingerują państwa silniejsze w państwach słabszych.
Ale to nie jest cała prawda.

Przed „połówkowymi" wyborami w USA, jak donosi „Politico", premier Kanady Mark Carney celowo przerwał rozmowy handlowe ze Stanami mające zakończyć rozpoczętą przez Donalda Trumpa wojnę handlową, prowokując tym samym nałożenie na swój kraj karnych ceł amerykańskich. Wbrew pozorom wcale nie była to samobójcza szarża.

Kanadyjczycy przeanalizowali bowiem szczegółowo, jak mapa ich eksportu do Stanów nakłada się na amerykańską mapę polityczną. Wyszło im, że jeśli „wezmą na klatę" karne cła, to – rzecz jasna – ucierpią. Ale zarazem bezpośrednie i pośrednie skutki przerwania czy przynajmniej nagłego osłabienia budowanych przez dekady między oboma krajami więzów gospodarczych uderzą po amerykańskiej stronie granicy przede wszystkim w te stany, w których możliwe do wyobrażenia było wahnięcie się istotnej części elektoratu od Republikanów do Demokratów – a więc przeciw Trumpowi odczytywanemu (nie bez – łagodnie rzecz ujmując – pewnych podstaw) jako wróg Kanady.

To, by użyć kalki z angielszczyzny, zapracowało. Efekt amerykańskich sankcji spowodował w tych stanach gospodarcze perturbacje, zmniejszenie popularności prezydenta i odwrócenie się od niego części biznesu, a w rezultacie dekompozycję Republikanów. Te procesy zaowocowały zmniejszeniem poparcia dla partii Trumpa, co dołożyło sporą cegiełkę do klęski POTUS-a i ruchu MAGA, czyli do tego, czego Ottawa sobie życzyła.

Według wszelkich parametrów Kanada jest przy USA karzełkiem. Ale potrafiła wymierzyć amerykańskiemu Goliatowi cios może nie aż śmiertelny, ale taki, po którym długo będzie się on słaniał.

Kiedy dowiedziałem się o tym epizodzie, natychmiast przypomniałem sobie inny – wsparcie ówczesnej polskiej opozycji przez rządzących Ukrainą przed wyborami 2023 roku. To bezpośrednie – jak demonstracyjne lekceważenie rządu PiS przez Zełenskiego, i to pośrednie – jak nieposzukująca kompromisu reakcja na kryzys zbożowy. Też przecież według wszelkich wskaźników Ukraina ustępowała Polsce. Ale Kijów odważył się, działał konsekwentnie i dołożył swoją cegiełkę do politycznej zmiany, która nastąpiła nad Wisłą.

Oczywiście wybrałem przypadki nietypowe. Znacznie częściej ingeruje jednak większy i silniejszy. Na masową skalę ingerował (czas przeszły, bo nie wiemy, do jakich praktyk będzie czuł się zdolny po przegranych wyborach połówkowych) Trump. Znane są bardziej czy mniej spektakularne, bardziej czy mniej brutalne działania jego ambasadorów w krajach europejskich. Znak firmowy z takich ingerencji już dawno temu uczyniła sobie Bruksela. I to nie tylko w ramach „walki o praworządność" w jakiejś dzikiej Polsce czy innej Rumunii. Na przykład w 2011 roku przywódcy UE zwracali się do Baracka Obamy, aby Stany via swoje wpływy w Międzynarodowym Funduszu Walutowym wsparły ich zakulisowe działania, zmierzające do ogarnięcia Włoch przez kryzys finansowy, co miałoby spowodować upadek znienawidzonego przez liberalną lewicę Silvia Berlusconiego.

Ogólnie można powiedzieć, że ingerencje w sprawy wewnętrzne, niegdyś wstydliwie ukrywane, stają się coraz bardziej bezwstydnym znakiem czasów.

Ale chyba jeszcze ważniejszym symptomem epoki jest to, że w każdym kraju – znów: inaczej niż niegdyś – manifestują swoje istnienie duże grupy, których wsparcie w konflikcie wewnętrznym przez siłę zewnętrzną nie bulwersuje. Które gotowe są przyznać obcym moralne prawo do dokonywania w ich krajach takich ingerencji – o ile są one skierowane przeciw komuś, kogo te grupy serdecznie nie cierpią. Tradycyjne, suwerenistyczne podejście do polityki staje się okrutnie niemodne. Paradoksalnie – nawet wśród najbardziej patriotycznych suwerenistów.

eprasa.pl 08cfe9cbca

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Nowa era softokupacji



Sławomir Jastrzębowski

Za głupich nas ma. Może i słusznie? 38-milionowy naród, który wybiera na szefa rządu patologicznego kłamcę wpychanego na fotel premiera najpierw przez jedną Niemkę, a potem przez Niemkę drugą, naród ciężko doświadczony przez Niemcy mógłby nieco podciągnąć się z mądrości, mógłby nieco oprzytomnieć. Ów pan na pałkach policjantów wprowadza do Trybunału Konstytucyjnego swoich uzurpatorów-komediantów i mówi narodowi: „To nowa era". Nie, to stara dyktatura w trochę nowych butach, softokupacja plasterkowa. Czy obudzimy się, zanim ukradną nam Polskę? Czy obudzimy się, zanim zrobią z nas euroniewolników?

30 PAŹDZIERNIKA DOCHODZI DO ZAMACHU STANU. POLICJA WKRACZA NA TEREN TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO OD STRONY KANCELARII TUSKA. CZY WOLNO JEJ BYŁO TO ZROBIĆ? NIE.

Pewne rzeczy ledwo tu zasygnalizuję, pewne dzieją się na naszych oczach, a pewne już się wydarzyły. Najważniejsze w tych świadomie chaotycznych zdaniach – tak jak chaotyczne i do niedawna całkiem nie do pomyślenia są wydarzenia, które obserwujemy – jest jednak to: celem europejskich, czyli w istocie niemieckich elit, jest zrobienie z Polski kraju, który będzie rezerwuarem taniej siły roboczej i rynkiem zbytu dla ich technologii. Kraj nie może być konkurencyjny, ma się zadłużać, ma w nim panować chaos, także prawny. Najlepiej, żeby zmuszony był przyjąć kaganiec euro, a wtedy może wywiezie się 700 ton złota do Frankfurtu. Nadmieniam, że już za chwilę nie do pomyślenia będą nawet analogie z wywożeniem przez okupantów nie softwagonami z Polski dzieł sztuki, antyków, kosztowności, bibliotek, maszyn... Za takie myślenie i za takie słowa, jak tu kreślę, czekać będzie więzienie, ponieważ wkrótce będzie to wzorcowy język nienawiści nawołujący podobno do przemocy. O tym, co jest językiem nienawiści i czy słowa „Dzień dobry" nawołują do przemocy, będą decydować oni. Nowi, europejscy zieloni bolszewicy.

Nie miejsce koncentrować się tu na banalnych, wciąż jednak działających socjotechnikach Tuska jak: „Wybuduję wam CPK w ten sposób, że będę opóźniać budowę, tak długo, jak się da, a da się opóźniać w nieskończoność, no i w końcu nie wybuduję. Spokojnie, mam to przećwiczone na elektrowni jądrowej. Tak budowałem, że nie wybudowałem i udało się, nikt się nie połapał, a ci mniej bystrzy wierzą mi i mnie kochają". Oczywiście, że Donald Tusk nie wypowiedział i nie wypowie tych słów sauté, lecz nie tylko ja zatruwam się domniemaniami, że właśnie tak pulsują jego myśli i tak się właśnie dzieje. Donald Tusk nie może sobie pozwolić na prawdę. Ta wzbudziłaby gwałtowne, negatywne emocje. Może sobie pozwolić na gotowanie żaby, na odkrawanie wolności i suwerenności po plasterku, na wprowadzanie stopniowo okupacji, takiej nowoczesnej, europejskiej, soft. Jemu i jego podopiecznym ma się to opłacać, ma przecież być gubernatorem obszaru pozbawianego tożsamości. Niewolnikami trzymanymi jarzmem bezprawia usankcjonowanego i brutalnością służb trzeba przecież zarządzać.

Za głupich nas ma. Może i słusznie. Wyłówmy z morza dowodów Trybunał Konstytucyjny i to, co proniemiecki polityk robi z najważniejszym polskim sądem pilnującym najważniejszej ustawy. Po kroku krok.

Po co Tuskowi ten byt? Do zatwierdzania bezprawia, być może do uznania przez grupę pseudosędziów podległości polskiej konstytucji europejskim sądom, co w prak-

eprasa.pl 08cfe9cbca

tyce oznaczałoby pozbycie się suwerenności. Ostateczne decyzje dotyczące naszego prawa zapadałyby nie w Polsce.

A może, w wersji radykalnej, do pozbawiania prezydenta władzy? Żeby komunista moskiewski przeistoczony w procesie „opłaca się" w brukselskiego, marszałek polny Włodzimierz Czarzasty dopełnił podpisania w imieniu prezydenta ustaw uznających podległość Polski?

Dobrze, to teraz w punktach. Najpierw Tusk uznaje uchwałą w grudniu 2024 roku, że Trybunał Konstytucyjny to nie Trybunał Konstytucyjny i nie publikuje wyroków Trybunału. Czy mógł to zrobić? Nie. Czy to zrobił? Tak.

Następnie czeka z wyborem kandydatów na sędziów TK przez parlament tak długo, żeby mógł za jednym razem wybrać sześciu (Sejm jest mu całkowicie podporządkowany) po to, żeby mieć w TK większość, a więc de facto go przejąć. Czy wolno mu to robić? Nie. Sędziowie muszą być wybierani indywidualnie po tym, jak któremuś z sędziów TK kończy się kadencja. Czy to zrobił? Tak.

30 października dochodzi do zamachu stanu. Policja wkracza na teren Trybunału Konstytucyjnego od strony kancelarii Tuska. Czy wolno jej było to zrobić? Nie. Trybunał jest strzeżony przez Straż Trybunalską. Czy policja to zrobiła? Tak.

Anna Korwin-Piotrowska, która zgodnie z ustawą nie może podjąć obowiązków sędziego Trybunału Konstytucyjnego, ponieważ nie złożyła ślubowania wobec prezydenta, wchodzi wraz z kilkoma innymi wybranymi przez Sejm na kandydatów na sędziów TK w asyście policji na teren TK i wydaje „zarządzenie" zawieszające legalnego prezesa TK Bogdana Święczkowskiego. Czy wolno było jej to zrobić? Nie. Czy to zrobiła? Tak.

ANNA KORWIN-PIOTROWSKA W KURIOZALNYM PIŚMIE „ZAWIESZAJĄCYM" PREZESA POWOŁUJE SIĘ NA PRAWO SĄDÓW POWSZECHNYCH, CHOĆ TK TE PRZEPISY NIE OBOWIĄZUJĄ.

Datę zamachu stanu zaplanowano tak, żeby na miejscu nie było prezesa Bogdana Święczkowskiego i żeby w Polsce nie było prezydenta Karola Nawrockiego, prezydent leciał do Senegalu. Karol Nawrocki nakazuje zawrócić samolot, wraca do Polski, jedzie do Trybunału Konstytucyjnego. Do budynku próbuje nie wpuścić go uzurpatorka Korwin-Piotrowska. Zagradza wejście, narusza nietykalność cielesną prezydenta. Czy wolno było jej to zrobić? Nie. Czy to zrobiła? Tak.

Anna Korwin-Piotrowska w kuriozalnym piśmie „zawieszającym" prezesa powołuje się na prawo sądów powszechnych, choć TK te przepisy nie obowiązują. Mogła to zrobić? Nie. Czy to zrobiła? Tak.

Sąd Najwyższy zajmujący się sądami powszechnymi postanawia uchylić zarządzenie Anny Korwin-Piotrowskiej wydane z powołaniem się na prawo sądów powszechnych, w którym „zawieszano" prezesa i wiceprezesa TK. Postanowienie jest prawomocne. Sąd Najwyższy mógł to zrobić? Tak, ponieważ sprawuje kontrolę nad przepisami dotyczącymi sądów powszechnych, na które powoływano się w dokumencie.

ŻYJEMY W KRAJU, W KTÓRYM STUDENTOM PRAWA TRZEBA UZMYSŁOWIĆ, ŻE PRAWA NIE NALEŻY STUDIOWAĆ, ŻE WYSTARCZY MIEĆ POLICJĘ, KTÓRA JEST PRAWEM.

W międzyczasie dochodzi do kolejnego kuriozum. Anna Korwin-Piotrowska próbuje zwołać Zgromadzenie Ogólne sędziów TK. Nie może tego zrobić, ale ciekawszy aspekt to kworum. Ogólna liczba sędziów TK to 15. Zgodnie z prawem kworum to co najmniej dwie trzecie z ogólnej liczby sędziów, czyli 10. Korwin-Piotrowska uznaje z grupą uzurpatorów, że 8 to 10. Nie żartuję.

Kolejne odcinki przyniesie nam czas...

Kończąc, żyjemy w kraju, w którym studentom prawa trzeba uzmysłowić, że prawa nie należy studiować, że wystarczy mieć policję, która jest prawem. Żyjemy w kraju, w którym trzeba im powiedzieć, żeby się jednak uczyli, że najdalej za rok się przyda. Osobom biorącym udział w zamachu stanu grozi 20 lat więzienia.

Za głupich nas ma? Tak. Popełnia błąd.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Po czternastu latach rządów SNS w Serbii **zwycięża Lista Studencka**. Ruch, który pokonał Aleksandara Vučicia, wywodzi się z protestów studenckich po katastrofie kolejowej w Nowym Sadzie, które przekształciły się szybko w ogólnokrajowe manifestacje antyrządowe. Media na całym świecie ogłosiły triumf, ale de facto nikt nie wie, kim są i dlaczego wygrali „studenci".

Hanna Szymerska



Radość po zwycięstwie Listy Studentów, Belgrad, 26 października br.

SERBIA – nowe otwarcie

Fot. Marko Dimic / Zuma Press / Forum

eprasa.pl 08cfe9cbca

Mówiąc o serbskiej polityce, a w szczególności o ugrupowaniu Vučića, Serbskiej Partii Postępowej, na usta cisną się dwie maksymy. Jedna, pasująca również do ostatnich lat rządów Victora Orbána, który notabene pozostawał z byłym prezydentem Serbii w dobrych relacjach, to sentencja Lorda Actona o władzy, która deprawuje, a gdy jest absolutna, deprawuje absolutnie. Drugą jest słynne „ekonomia, głupcze". Gdy partia Vučića po raz pierwszy dochodziła do władzy, był rok 2012. Po burzliwych, wręcz wybitnie burzliwych, gdyż wojennych, kryzysowych i upokarzających dwóch dekadach po rozpadzie Jugosławii Serbia pogrążona była w rozlicznych problemach natury gospodarczej i społecznej. W 2000 roku obalono Slobodana Miloševicia, po opanowaniu stolicy przez demonstrantów reżim upadł, a władzę przejęła Demokratyczna Opozycja Serbii, front złożony z ludzi o różnych poglądach, których łączył cel transformacji ustrojowej. I ten cel został zrealizowany. W 2004 roku do władzy doszedł Boris Tadić, lider Partii Demokratycznej, która choć na sztandarach miała hasła wynikające ze swej nazwy, przyniosła krajowi również to, co znamy z naszej transformacji. Pod koniec rządów tego premiera bezrobocie wyniosło prawie 25%, liczne były również patologie związane z prywatyzacją. Wtedy na scenie politycznej zaistniał SNS, partia Vučicia. Sam przyszły prezydent nie przyjechał na białym koniu, lecz odpowiedział na problemy przeciętnego obywatela. Rzeczywiście poprzednia ekipa odeszła w cień, a bezrobocie spadło do kilkunastu procent. Próbowano również – acz z różnym skutkiem – pociągnąć do odpowiedzialności uczestników życia publicznego umoczonych w skandale, winnych malwersacji i innych patologii. Aleksandar Vučić prezydentem został w 2017 roku po trzech latach pełnienia funkcji premiera. Jako głowa państwa bardzo szybko skonfliktował się z liberałami, zarzucano mu łamanie dogmatów liberalnej demokracji chociażby przez skłócenie się z salonem dziennikarskim. Lawirował również w polityce zagranicznej. Deklarował się jako proeuropejski, co miało duże znaczenie po latach izolacji kraju. Jednocześnie zacieśniał relacje z Chinami i Węgrami. Nierzadko był porównywany do Orbána, z którym zresztą nierzadko się pokazywał. W sprawie Rosji utrzymywał stanowisko niebudzące kontrowersji w Serbii – Serbowie darzą Rosjan historyczną sympatią, jednocześnie nie zabliźniły się jeszcze ich rany po interwencji NATO. Ponadto przeciętny Serb na myśl o Rosji widzi wakacje cioci – fanki architektury w Petersburgu, a polityką zagraniczną interesuje się z doskoku. Fakt, że Gazprom dołożył swoją cegiełkę do budowy cerkwi świętego Sawy w Belgradzie i że Vučić zadzwonił do Putina w 2024 roku (acz wcześniej, po wybuchu pełnoskalowej wojny, raczej ochłodziły się ich relacje), by dogadać kwestię gazu, nikogo nie przejął. Nie jest to jednocześnie druga Białoruś ani inne państwo satelickie. Przejmujący natomiast okazał się fakt, że ostatnie lata rządów Vučicia zaczęły przypominać czasy zdeprawowanej władzy liberałów, a przynajmniej nie kontynuowały dobrej passy znanej z początków jego aktywności. Także – a może zwłaszcza – z punktu widzenia społeczno-gospodarczego.

Ku upadkowi

W przededniu wygranej studentów bezrobocie wynosi prawie 10%. Wielkie spadki z okresu pierwszej kadencji SNS zanikły w pamięci zbiorowej. W 2024 roku na dworcu w Nowym Sadzie zapada się betonowa wiata nad wejściem do budynku. Początkowo krąży informacja, że zginęło 14 osób, w następnych dniach zmarły dwie kolejne, co podniosło liczbę ofiar śmiertelnych do 16. Przyczyny tragedii nie są znane, ale od kilku dni mówi się o łamaniu prawa przetargowego przez Serbię w kontekście chińskich inwestycji. Te nierzadko dały się we znaki mieszkańcom kraju, gdyż podobnie jak na Węgrzech fabryki dalekowschodnich inwestorów zatruwają środowisko naturalne i bywają oskarżane o łamanie prawa pracy. Po katastrofie rząd wydaje się nieudolny. Nie ma winnych, nie ma kogo pociągnąć do odpowiedzialności, brakuje nawet podstawowej przejrzystości w dochodzeniu. Po kilku dniach wybuchają protesty, z każdym dniem coraz liczniejsze. 21 listopada 2024 roku belgradzcy studenci przerwali zajęcia, aby przyłączyć się do codziennych

ALEKSANDAR VUČIĆ NIE PRZYJECHAŁ NA BIAŁYM KONIU, LECZ ODPOWIEDZIAŁ NA PROBLEMY PRZECIĘTNEGO OBYWATELA.

eprasa.pl 08cfe9cbca

akcji upamiętniającej ofiary katastrofy. 22 listopada doszło do eskalacji napięcia, gdy rozpędzono studentów i pracowników naukowych na Wydziale Sztuk Dramatycznych w Belgradzie oddających cześć ofiarom wydarzenia. Już 25 listopada wydział został zablokowany, z czasem dołączają do niego inne jednostki. Łącznie 50 wydziałów i niektóre szkoły średnie manifestują niezadowolenie z sytuacji. Dochodzi jeszcze aspekt ekonomiczny. Duża część studentów pracuje na umowach tymczasowych (do 24 miesięcy), niegwarantujących bezpieczeństwa socjalnego. Prawie co piąty młody Serb jest bezrobotny. Do tego ich ojczyzna, poza stolicą i bardzo specyficzną Wojwodiną (region do 1920 roku wchodzący w skład Królestwa Węgier, bardzo wielonarodowy i wieloetniczny), zdaje się zaniedbana. Owszem, są inwestycje, ale Aleksandar Vučić preferuje te, które są widowiskowe. Może i jest darmowa komunikacja miejska w Belgradzie (nie dotyczy jedynie lotniska), ale jadąc na południe kraju, obywatel może zderzyć się ze ścianą. W 2023 roku około 40% (!) wsi i miasteczek nie posiadało transportu publicznego. Około miliona Serbów jest wykluczonych komunikacyjnie i chcąc opuścić miejsce zamieszkania, musi liczyć się z koniecznością zamówienia taksówki lub jazdy samochodem. Co robi serbska bab(ci)a idąca do lekarza? Zamawia taryfę i odlicza wielokrotność ceny transportu na opiekę prywatną bądź mniej godziwą formę uzyskania usługi. W ledwo zipiących usługach publicznych szaleje problem korupcji. Wspomniana bab(ci)a ma duże szczęście, jeśli mieszka w Belgradzie lub w Wojwodinie, bo pomijając wykluczenie komunikacyjne, w kraju mamy do czynienia z dużymi nierównościami społecznymi i mieszkańcy południa, południowego zachodu i wschodu kraju zarabiają zdecydowanie mniej. W dodatku prawo utrudnia możliwości strajku. Co nie zmienia faktu, że studentom udało się zjednać niektóre grupy zawodowe i wspólnie zaprotestować na ulicy. Chociaż strajku generalnego nie było, ich nauczyciele i wykładowcy pomimo gróźb zwolnienia nie opuścili swoich podopiecznych.

W 2023 ROKU OKOŁO 40% (!) WSI I MIASTECZEK NIE POSIADAŁO TRANSPORTU PUBLICZNEGO.

Precedens wyborczy

Największa manifestacja odbyła się 15 marca 2025 roku. Na ulice wyszło około 300 tysięcy obywateli, czyli de facto co dwudziesty Serb. Popiera ich kilkadziesiąt procent rodaków. Choć latem poprzedniego roku demonstracje słabły, po Serbii krążyło widmo przedwczesnych wyborów, do których namawiała nieformalna uliczna opozycja. Kilka miesięcy temu Aleksandar Vučić się ugiął. Studenci już od jakiegoś czasu mieli aspiracje polityczne i zaczęli dyskusję o listach. Nie wybrano poprzedniej ekipy rządzącej, „spadochroniarzy" ani innych skandalistów. Wysokie miejsca na ogólnokrajowej liście przypadły lokalnym społecznikom, naukowcom, sportowcom i osobowościom medialnym. O kandydaturach decydowali osobiście w budynkach oświatowych. Tymczasem Vučić zrezygnował ze stanowiska prezydenta, ustępując miejsca byłej premier i przewodniczącej Zgromadzenia Narodowego Anie Brnabić, znanej głównie ze swojego homoseksualizmu (Serbia nie uznaje związków partnerskich). We wrześniu wybory rozpisano, a studenci przynieśli zebrane podpisy, co pozwoliło im zarejestrować listę. Jaki mieli program? Nie da się go zaklasyfikować w prostym podziale prawica – lewica. Pierwsze skrzypce grały znane z chyba każdych wyborów w każdym kraju Europy hasła: rozliczenie poprzedników, walka z korupcją i kolesiostwem i lustracja polityków pod kątem malwersacji dokonanych w czasach transformacji. Gospodarczo zapowiadane były: usprawnienie usług publicznych, zmiana w Kodeksie pracy w celu większej ochrony pracowników (między innymi skrócenie czasu trwania umów tymczasowych z 24 do 12 miesięcy) i walka

JAKI LISTA STUDENCKA MIAŁA PROGRAM? NIE DA SIĘ GO ZAKLASYFIKOWAĆ W PROSTYM PODZIALE PRAWICA – LEWICA.

eprasa.pl 08cfe9cbca

z bezrobociem. Oprócz tego pojawiają się mgliście brzmiące hasła o decentralizacji, dbaniu o środowisko i niezależności instytucji. Niemniej program – swoją drogą dostępny w wersjach językowych mniejszości narodowych zamieszkujących Serbię – spełnił swoją rolę. Lista studencka zdobyła samodzielną większość 140 deputowanych w 250-osobowym parlamencie Serbii. Oprócz nich dostał się SNS (104 miejsca) oraz partie mniejszości narodowych. Wynik 52% przy sporej frekwencji jest imponujący.

To nie jest czarno-białe

Po zwycięstwie Listy Studentów w europejskiej, w tym polskiej, sferze medialnej zawrzało. Pojawiły się już głosy o „przegrywie Vučiciu", „obaleniu prawicowej dyktatury, końcu elit partyjnych" czy nawet wpis Romana Giertycha o „porażce PiS-iorów i Rosji w Serbii". Począwszy od pierwszej kwestii, sytuację w Serbii można porównać do wiosennych wyborów na Węgrzech. Zarówno Orbán, jak i partia Vučicia rządzili krajem ponad dekadę (w przypadku Orbána – dwie, w przypadku SNS-u – prawie półtorej). Postrzeganie tego okresu w kategorii przegranej zaszufladkowałoby... całą polską scenę polityczną jako „przegrywów", włącznie z Donaldem Tuskiem i Jarosławem Kaczyńskim. Ale czy chociaż obalona została prawicowa dyktatura i postawiono weto elitom partyjnym? W połączeniu z informacją o przegranej Flávia Bolsonaro w Brazylii polscy liberałowie zafundowali nam wizję, jakoby populizm miał się skończyć. Tyle że te sytuacje nie są ze sobą powiązane i nie mają nic wspólnego z polską rzeczywistością. Ponadto ani SNS-u nie da się zakwalifikować jednoznacznie jako prawicy, ani Studentów jako lewicy. Wśród zwolenników i działaczy Listy Studenckiej są zarówno lewicowcy, czerpiący z tradycji spółdzielczości bardzo zakorzenionej w państwach byłej Jugosławii, jak i serbscy narodowcy, zwolennicy demokracji bezpośredniej, osoby, które nazwalibyśmy euroentuzjastami, zwolennicy wolnej Palestyny i przeciwnicy nakładania sankcji na Rosję. Owszem, ruch studencki zapowiada walkę z elitami kompradorskimi, ale... podobną retoryką operował Aleksandar Vučić. Nawiasem mówiąc, władzę w Serbii obejmuje partia byłych demonstrantów, a kalejdoskop poglądów jej reprezentantów jest – być może wyolbrzymiając – porównywalny z mnogością opinii opozycji antykomunistycznej w Polsce po 1989 roku. To może w tej sekcji komentarzy przypominającej Radio Erywań chociaż informacja nadana przez Romana Giertycha była prawdziwa? Odpowiedź na to pytanie retoryczne jest oczywista. Pomijając fakt, że partia Vučicia jest powiązana z EPP, do której należy również Koalicja Obywatelska, należy być bardzo ostrożnym w spekulowaniu nastawienia nowych władz do Rosji. Ostatnio obiegły świat słowa deputowanego Jovo Bakicia odnośnie do Rosji, którą w wywiadzie dla RT Balkan uznał za historycznie ważnego partnera Serbii niekwalifikującego się do obłożenia sankcjami. Krytykę serbskiego wsparcia dla sankcji na Rosję podziela również były prezes Narodowego Banku Serbii, prounijny Dejan Šoškić. Czy ich stanowisko jest w mniejszości? Trudno powiedzieć, gdyż w parlamencie usiądzie sporo nowych twarzy. Czy liberałowie powinni się cieszyć ze zwycięstwa Listy Studenckiej? Carpe diem, na zdrowie, nie przewidzimy, w którą stronę Serbia pójdzie. Aleksandra Vučicia oceni jeszcze historia, lecz już dzisiaj widzimy, co się dzieje, gdy władza wychodząca z prospołecznymi postulatami przestaje je spełniać. Nie chcąc dołączać się do linczu, byłemu prezydentowi należy oddać to, co niegdyś dobrego zrobił dla swojego kraju. Nie bez powodu można mówić o częściowej absorbcji postulatów SNS-u przez demonstrantów. Czy nierówności regionalne da się zrównoważyć w kilka lat? Absolutnie nie. Czy pozbędą się odrealnionych elit i nie stworzą własnych? Może. Czy będzie lepiej? Tego Serbom należy życzyć. Natomiast pewne jest, że ani tej wygranej nie można postrzegać w barwach czarno-białych, ani nie było drugich takich wyborów w historii. Bezprecedensowe zwycięstwo, dające duży kredyt zaufania, a jednocześnie kredyt tak obarczony oczekiwaniami wyborców, jeszcze długo będzie pamiętane w Serbii. W Serbii, nie wśród polskich liberałów.

RUCH STUDENCKI ZAPOWIADA WALKĘ Z ELITAMI KOMPRADORSKIMI, ALE... PODOBNĄ RETORYKĄ OPEROWAŁ ALEKSANDAR VUČIĆ.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Akredytacja prasowa Białego Domu: pewnik czy przywilej?

Wyrzucenie kilku redakcji z Białego Domu przez Donalda Trumpa to coś nieco większego niż konflikt z nieprzychylnymi mu mediami. To także pytanie o **granice wolności prasy**, polityczne zaangażowanie dziennikarzy i ogólną rolę mediów. Czy współczesne dziennikarstwo zachowało dystans wobec polityki?

Tomasz Winiarski

W Białym Domu nie brakuje kamer, mikrofonów ani dziennikarzy czekających na możliwość zadania prezydentowi Stanów Zjednoczonych choćby krótkiego pytania. Za fasadą codziennych konferencji prasowych i spotkań z mediami trwa jednak spór o to, kto i na jakich zasadach może relacjonować działania lidera wolnego świata.

Prezydent Donald Trump ogłosił 18 września na platformie Truth Social, że podjął decyzję o wykluczeniu dziennikarzy stacji CNN i MS NOW oraz portalu Politico z wejścia na teren Białego Domu. Uzasadnił ją zarzutami o rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji oraz tendencyjne przedstawianie działań jego administracji przez te redakcje.

Niedługo później, podczas rozmowy z dziennikarzami w Gabinecie Owalnym, Trump podkreślił, że jego decyzja nie była reakcją na pojedynczy artykuł ani konkretny incydent. Jak przekonywał, stanowiła ona konsekwencję publikacji z ostatnich dwóch lat, które w jego ocenie miały na celu osłabienie Partii Republikańskiej i jego prezydentury.

Obecny prezydent USA podkreślał przy tym, że oczekuje od mediów rzetelnego informowania opinii publicznej, a nie systematycznego rozpowszechniania nieprawdziwych doniesień.

– Człowiek ma już dość czytania i oglądania fałszywych wiadomości. Kiedy patrzycie na CNN, widzicie wyłącznie fałszywe informacje. Właśnie dlatego oglądalność tej stacji jest tak niska. Podobnie jest z MS NOW – podają fałszywe wiadomości. A kiedy spojrzycie na Politico, publikowane przez ten portal artykuły również są nieprawdziwe. Takich mediów jest wiele, a do tej grupy mogą dołączyć kolejne redakcje. Być może z czasem zaczną działać lepiej. Nasz kraj potrzebuje



Fot. Samuel Corum - Pool via CNP / Zuma Press / Forum

eprasa.pl 08cfe9cbca

jednak rzetelnych informacji – mówił Trump.

CNN zapowiedziało obronę swoich dziennikarzy, powołując się na konstytucyjne gwarancje wolności prasy. Podobne stanowisko zajęło Politico, deklarując, że nie zaprzestanie relacjonowania działań administracji i będzie bronić praw zagwarantowanych przez 1. poprawkę do konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Za oceanem pojawiła się więc szersza debata na temat zasad dostępu dziennikarzy do Białego Domu oraz granic jego uprawnień w zakresie kształtowania relacji z mediami. Podczas gdy Trump przedstawia sprawę jako kwestię odpowiedzialności poszczególnych redakcji za publikowane treści, one same wskazują na konieczność ochrony konstytucyjnej wolności prasy i zagwarantowania dziennikarzom możliwości niezależnego relacjonowania działań władzy.

5 PAŹDZIERNIKA BIAŁY DOM ODMÓWIŁ DZIENNIKARZOWI PORTALU POLITICO WEJŚCIA NA POKŁAD SAMOLOTU AIR FORCE ONE PODCZAS PODRÓŻY DONALDA TRUMPA DO NEBRASKI.

Mikrofon na wokandzie

21 września CNN, MS NOW i Politico wspólnie wystąpiły na drogę sądową przeciwko Donaldowi Trumpowi oraz przedstawicielom jego administracji, składając pozew przed sądem federalnym w Waszyngtonie. Redakcje zażądały tymczasowego zawieszenia zakazu i przywrócenia swoim dziennikarzom dostępu do Białego Domu. W uzasadnieniu wskazywały, że decyzja administracji narusza ich prawa konstytucyjne, w szczególności gwarancje wolności prasy wynikające z 1. poprawki do konstytucji USA, a także prawo do odpowiednich procedur prawnych wypływające z 5. poprawki.

W wydanym wspólnie oświadczeniu redakcje podkreśliły, że ich działania mają na celu obronę podstawowych zasad wolności mediów.

„Dziś rano poinformowaliśmy administrację, że składamy pozew, aby chronić nasze prawa wynikające z 1. poprawki i bronić zasady, zgodnie z którą to rząd nie decyduje o tym, co prasa relacjonuje i publikuje" – przekazały.

Dziennikarze argumentowali również, że odebranie im akredytacji bez uprzedzenia i odpowiedniej procedury było bezpośrednią reakcją na treść ich publikacji. Ostrzegali, że brak sprzeciwu wobec takiej praktyki zagroziłby „wolności prasy i prawu opinii publicznej do niezależnego dziennikarstwa wolnego od ingerencji rządu".

Stacje CNN czy MS NOW należą do grona uczestników „poolu prasowego" Białego Domu, czyli systemu zapewniającego ograniczonej liczbie dziennikarzy i ekip dostęp do wydarzeń, w których ze względów organizacyjnych nie mogą uczestniczyć wszyscy przedstawiciele mediów akredytowanych przy siedzibie amerykańskiej władzy wykonawczej. Zebrane w ten sposób materiały są następnie udostępniane innym redakcjom, umożliwiając im relacjonowanie wydarzeń z udziałem prezydenta i jego administracji.

Administracja Trumpa prezentuje odmienną interpretację sporu. Jej przedstawiciele podnoszą, że prezydent oraz jego współpracownicy mają pełne prawo ustalać zasady dostępu do wydarzeń i pomieszczeń pozostających pod kontrolą Białego Domu.

W toku postępowania przywołano również względy bezpieczeństwa narodowego. Departament Sprawiedliwości argumentował, że część publikacji, które przyczyniły się do podjęcia decyzji o ograniczeniu dostępu dla wybranych redakcji, mogło zawierać informacje istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa.

Prawnik Departamentu Sprawiedliwości Michael Velchik argumentował, że dziennikarze nie mogą traktować możliwości pracy na terenie Białego Domu jako jakiegoś z góry zagwarantowanego im uprawnienia.

– Dostęp do Białego Domu jest przywilejem, a nie prawem – przekonywał.

Medialna dostępność rezydenta

23 września odbyła się rozprawa dotycząca tymczasowego wstrzymania decyzji Trumpa. Sędzia federalny Timothy Kelly wykazywał sceptycyzm wobec argumentów Białego Domu i wskazywał na problemy związane z podstawą prawną zakazu. Dzień później wydał tymczasowe rozstrzygnięcie nakazujące administracji przywrócenie CNN, MS NOW i Politico dostępu do Białego Domu.

Orzeczenie miało jednak charakter tymczasowy. Sędzia nie zakończył całej sprawy i nie

eprasa.pl 08cfe9cbca

wydał ostatecznego rozstrzygnięcia dotyczącego wszystkich zarzutów w związku z naruszeniem 1. poprawki. Skupił się między innymi na prawach proceduralnych chronionych przez 5. poprawkę i uznał, że powodowie mają podstawy, by twierdzić, iż zostali potraktowani w sposób niezgodny z konstytucją.

Biały Dom został więc zobowiązany do ponownego dopuszczenia dziennikarzy wskazanych redakcji do Białego Domu przynajmniej na okres obowiązywania tymczasowego nakazu sądowego.

CNN zarzucało jednak administracji Donalda Trumpa, że mimo wcześniejszego orzeczenia stosowała ona zasady dostępu mediów do Białego Domu w sposób „nieprzewidywalny i pozbawiony spójnych reguł". Stacja wskazała między innymi na odsunięcie jej od części obowiązków związanych z telewizyjnym „poolem prasowym" w siedzibie prezydenta USA. Zdaniem redakcji samo przywrócenie akredytacji nie rozwiązywało problemu, jeśli w Białym Domu w dalszym ciągu ograniczano udział ich dziennikarzy w danych wydarzeniach i przez to utrudniano im wykonywanie swoich obowiązków zawodowych.

5 października Biały Dom odmówił dziennikarzowi portalu Politico wejścia na pokład samolotu Air Force One podczas podróży Donalda Trumpa do Nebraski. To właśnie ten portal został wyznaczony jako główny przedstawiciel mediów pisanych w ramach „poolu prasowego" na tę okoliczność.

Sytuacja miała znaczenie wykraczające poza samo wykluczenie jednego reportera, ponieważ – jak już wiadomo – system „poolu prasowego" zakłada, że dziennikarz reprezentujący daną grupę mediów przekazuje relacje z wydarzeń również pozostałym redakcjom, które nie mogą uczestniczyć w nich bezpośrednio.

Po odmowie wpuszczenia przedstawiciela Politico administracja Trumpa próbowała znaleźć inną redakcję gotową przejąć tę funkcję, jednak one solidarnie odrzucały tę propozycję. Ostatecznie część obowiązków w relacjonowaniu wizyty w Nebrasce przejął częściowo przedstawiciel gazety „The Washington Post", a dodatkowych informacji dostarczył dziennikarz stacji CBS.

Administracja Trumpa ponownie uciekała się do wyjaśnień, że dostęp do prezydenta Stanów Zjednoczonych jest dla mediów przywilejem, a nie zagwarantowanym prawem konkretnej redakcji. Jednocześnie argumentowała, że sam Trump jest nader dostępny dla dziennikarzy, często organizuje konferencje prasowe i regularnie odpowiada na pytania mediów.

„Prezydent Trump jest najbardziej dostępnym dla mediów prezydentem w historii Ameryki – organizuje otwarte wydarzenia prasowe, niemal codziennie odpowiada na pytania dziennikarzy bez filtrowania i publikuje informacje bezpośrednio na swoim koncie w serwisie Truth Social – i nadal będzie zapewniał mediom bezprecedensowy poziom dostępu" – przekonywał w przekazanym oświadczeniu Biały Dom.

Dziennikarzom świeczkę, politykom ogarek?

Dziennikarze akredytowani przy Białym Domu wykonują specyficzną pracę. Nie są częścią danej administracji prezydenckiej i nie podlegają prezydentowi. Jednocześnie to, czym się zajmują, wymaga dostępu do przestrzeni, nad którą to przedstawiciele prezydenta sprawują kontrolę i odpowiadają za jej bezpieczeństwo.

To wszystko tworzy naturalne napięcie. Biały Dom musi organizować pracę dla wszystkich osób w budynku o tej samej nazwie, a media z kolei muszą mieć możliwość wykonywania między innymi swojej funkcji kontrolnej wobec władzy.

W interesie części amerykańskich mediów nie zawsze leży bezstronne i rzetelne relacjonowanie działań obecnej ekipy rządzącej – nierzadko ich przekaz przybiera formę politycznej konfrontacji. W tym kontekście zarówno sam zakaz (przyznany mediom o liberalno-lewicowej linii redakcyjnej), jak i reakcje administracji Trumpa na zaistniałą sytuację mogą być postrzegane jako posunięcia mające swoje uzasadnienie.

MEDIA POWINNY ZACHOWAĆ PRAWO DO KRYTYCZNEGO SPOGLĄDANIA NA WŁADZĘ NIEZALEŻNIE OD TEGO, KTO JĄ SPRAWUJE, ALE ZARAZEM MUSZĄ LICZYĆ SIĘ Z ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ ZA RZETELNOŚĆ PRZEKAZU I PRZEJRZYSTOŚCIĄ WŁASNYCH SYMPATII I ANTYPATII.

eprasa.pl 08cfe9cbca

– Począwszy od 2015 roku, my w mediach głównego nurtu nauczyliśmy się, że jeśli będziesz ostro krytykował Donalda Trumpa, to kliknięcia rosną, oglądalność rośnie – stało się to modelem biznesowym – powiedział niedawno publicysta David Brooks z liberalno-lewicowego magazynu (sic!) „The Atlantic".

Później Brooks podzielił się kolejnymi ciekawymi uwagami na temat stosunku mediów, które reprezentuje, do współczesnego życia publicznego.

– Nasza praca polega na tym, by zachować pewien dystans. Moim zdaniem w wielu miejscach, w których byłem, tego dystansu już nie ma. I to jest problem mediów. Musimy ustalić pewien dystans od Partii Demokratycznej. To ludzie, których relacjonujemy, a nie ci, którym kibicujemy. Nie mamy być ich spin doktorami – dodał.

Wraz ze zmianami zachodzącymi we współczesnym świecie przeobrażeniom uległy również media, ich pozycja w społeczeństwie, relacje z ośrodkami władzy oraz sposób postrzegania ich roli jako tak zwanej czwartej władzy.

Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce coraz wyraźniej widać, że media przestają pełnić wyłącznie funkcję informacyjną i kontrolną, a stają się również narzędziem politycznej konfrontacji. Jak zauważył przywoływany wcześniej David Brooks, bywają one wykorzystywane przez polityków do bezpośredniego atakowania przeciwników, a niekiedy przeobrażają się wręcz w swoiste tuby propagandowe, których zaangażowanie w obronę określonego obozu politycznego przewyższa gorliwość samych jego przedstawicieli.

Kampania wyborcza i wyniki tegorocznych wyborów do Kongresu ponownie pokazały, jak współczesna debata polityczna w USA pozostaje związana z medialną polaryzacją i odmiennym sposobem przedstawiania działań poszczególnych obozów politycznych.

W zależności od przyjętej linii redakcyjnej te same wydarzenia mogą być przedstawiane jako dowód skuteczności jednej strony albo kompromitacja drugiej.

W wyborach śródokresowych Demokraci odnieśli zdecydowane zwycięstwo nad Republikanami, odbierając im kontrolę nad obiema izbami Kongresu, czyli Izbą Reprezentantów i Senatem. Wyborcy opowiedzieli się przeciwko obozowi Donalda Trumpa, wyrażając niezadowolenie m.in. z jego polityki gospodarczej, rosnących kosztów życia i samego sposobu sprawowania władzy. Demokraci uzyskali wyraźną przewagę w głosowaniu, zdobywając spore większości w amerykańskim parlamencie.

W ogólnokrajowym głosowaniu do Izby Reprezentantów Demokraci uzyskali według jednych danych 55,7 proc. głosów wobec 42,5 proc. dla Republikanów, co dało im przewagę przekraczającą 13 pp. Był to największy taki wynik jednej z partii w wyborach śródokresowych od 1974 roku. Oznacza on dla Republikanów i Donalda Trumpa poważne ograniczenie możliwości realizowania jego programu w ostatnich dwóch latach prezydenckiej kadencji i konieczność kompromisów w niektórych kwestiach.

Liberalne salony w Polsce, Europie i Stanach Zjednoczonych często wykorzystują media do krytyki prawicy, wobec czego ta nie pozostaje im dłużna i zgodnie z zasadą akcji i reakcji stosuje odpowiedź.

W obecnych realiach debaty publicznej wypracowanie szerokiego konsensusu w sprawie poprawnych relacji między mediami a politykami jest zadaniem niezwykle trudnym, co nie oznacza, że trzeba zupełnie rezygnować z tych planów.

Media powinny zachować prawo do krytycznego spoglądania na władzę niezależnie od tego, kto ją sprawuje, ale zarazem muszą liczyć się z odpowiedzialnością za rzetelność przekazu i przejrzystością własnych sympatii i antypatii. Politycy z kolei mają prawo polemizować z dziennikarzami, kwestionować ich ustalenia i wskazywać na błędy, ale nie powinni wykorzystywać swojej pozycji do medialnej manipulacji bądź dezinformacji.

POLITYCY MAJĄ PRAWO POLEMIZOWAĆ Z DZIENNIKARZAMI, KWESTIONOWAĆ ICH USTALENIA I WSKAZYWAĆ NA BŁĘDY, ALE NIE POWINNI WYKORZYSTYWAĆ SWOJEJ POZYCJI DO MEDIALNEJ MANIPULACJI BĄDŹ DEZINFORMACJI.

eprasa.pl 08cfe9cbca

KULTURA

Czytaj też:
Mocniej 48

Chcę robić rzeczy, KTÓRE MNIE KARMIĄ

– Mam w sobie bardzo dużo miłości i staram się przekazywać ją poprzez muzykę, ale również przez sposób, w jaki zachowuję się wobec świata i drugiego człowieka – mówi **Natalia Agape**, wokalistka, autorka tekstów i kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Agape to najwyższy wyraz miłości. Jak chcesz przekazać miłość słuchaczom? Jak ją definiujesz w kontekście swojej twórczości?

– Agape jest zarówno moim pseudonimem artystycznym, jak i oficjalnym nazwiskiem. Sama je sobie zmieniłam. Uznałam, że każdy nowy etap w życiu powinien wiązać się z czymś nowym, a nie z cofaniem się. Nie chciałam wracać do panieńskiego nazwiska, dlatego postanowiłam wymyślić własne. Zależało mi, żeby niosło ze sobą jakąś wartość, żeby nie było błahe i żebym mogła się z nim utożsamiać również za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że będzie to dobra wróżba i że zawsze będę kierowała się tym, co symbolizuje. Jeśli chodzi o miłość do słuchaczy, to w ostatnim czasie staram się przede wszystkim zwracać większą uwagę na ukochanie siebie i wsłuchiwanie się we własne potrzeby. Nawet jeśli to, co znajduję w środku, jest trudne, chcę dawać temu przestrzeń. Moją miłością do odbiorców jest dzielenie się tym, co udało mi się wygrzebać z zakątków własnej duszy. Mam nadzieję, że dzięki temu ktoś poczuje się mniej osamotniony.

> OZNAKĄ MIŁOŚCI JEST UMIEJĘTNOŚĆ WYSŁUCHANIA DRUGIEGO CZŁOWIEKA, ALE RÓWNIEŻ SAMEGO SIEBIE.

– Ukochanie siebie to w Twoim przypadku trudny czy łatwy proces?

– Myślę, że ma to wiele warstw. Najtrudniejsze jest usłyszenie własnej intuicji i potraktowanie jej poważnie. To coś, nad czym obecnie pracuję. Jeśli dostaję jakiś sygnał od ciała, chcę go po prostu posłuchać, zamiast ignorować i zastanawiać się, czy przypadkiem nie przesadzam. Chodzi o to, żeby rzeczywiście sobie zaufać. Myślę, że oznaką miłości jest umiejętność wysłuchania drugiego człowieka, ale również samego siebie.

– Twój najnowszy singiel „Alfabet Morse'a" zapowiada EP-kę. Ten kod kojarzy się z komunikacją pozawerbalną, przekazywaniem informacji bez użycia słów. Jak powinniśmy odczytywać ten tytuł? Co chcesz przekazać słuchaczowi poza samą warstwą tekstową?

– W przypadku tego utworu chodzi o pewien moment w relacji, który udało mi się uchwycić emocjonalnie i zamknąć w piosence. Często wysyłamy innym ludziom pewne sygnały. Zdarza się, że są one sprzeczne, właśnie dlatego że nie potrafimy pokochać siebie i dobrze siebie wysłuchać. Kiedy nie ufamy własnym pragnieniom i nie wiemy, czego oczekujemy od życia, wejście w relację z drugą osobą może stać się problematyczne.

– Skoro mówimy o relacjach i zamykaniu pewnych etapów, chciałbym zapytać: czy z Twojej perspektywy – jako kobiety i artystki – trudno jest dzisiaj znaleźć miłość do drugiego człowieka?

– Ostatnio sporo rozmawiam na ten temat z różnymi ludźmi. Jedna z moich koleżanek usłyszała od terapeutki, że znalezienie miłości jest czymś naprawdę rzadkim. Idąc tym tropem, uważam, że miałam w życiu dużo

eprasa.pl 08cfe9cbca

Natalia Agape, znana wcześniej jako Zagi, zrezygnowała z zespołu i wróciła do najbardziej podstawowych narzędzi, z którymi czuje się najlepiej – **głosu i instrumentów akustycznych**. W myśl tej minimalistycznej idei artystka postanowiła sprawdzić, jak muzyka będzie działać, gdy aranżacja przestanie być warstwą ochronną dla bezpośredniego przekazu. Nowa odsłona twórczości Natalii Agape jeszcze bardziej skupia się na emocjach, jednocześnie stanowiąc proces poznawania samej siebie.



Fot. Jakub Piątek

eprasa.pl 08cfe9cbca

szczęścia, ponieważ każdego człowieka, z którym byłam, kochałam. To była miłość, chociaż oczywiście jej wymiary są różne i każda relacja jest inna. Mam w sobie bardzo dużo miłości i staram się przekazywać ją poprzez muzykę, ale również przez sposób, w jaki zachowuję się wobec świata i drugiego człowieka. Jeśli jednak pytasz o miłość romantyczną, to na razie nie dzieje się nic szczególnie ciekawego.

DOBA MA OKREŚLONĄ LICZBĘ GODZIN, A NASZE ŻYCIE OKREŚLONĄ LICZBĘ DNI, KTÓREJ PRZECIEŻ NIE ZNAMY. FAJNIE BYŁOBY PO PROSTU KORZYSTAĆ Z TEGO, CO MAMY TU I TERAZ. ZWYCZAJNIE ZMĘCZYŁAM SIĘ CIĄGŁĄ GONITWĄ.

– Czyli obecnie w Twoim życiu artystycznym, zawodowym, a może również prywatnym mniej znaczy więcej?

– Ta EP-ka jest również pewnego rodzaju eksperymentem, a właściwie sposobem na walkę z perfekcjonizmem. Większość partii nagrałam na setkę, starałam się też nie poddawać wokali nadmiernej postprodukcji. Wszystko nagrałam sama, na stryszku, na którym mieszkam. Wszystkie teledyski powstały we współpracy z moim młodszym bratem, który interesuje się aktorstwem. Zaproponowałam mu, żebyśmy spróbowali razem popracować nad klipami. Został operatorem i nakręcił je wszystkie Handycamem. Później sama zajęłam się montażem. Nie robiłam nawet postprodukcji kolorystycznej. Każdy utwór został napisany i nagrany tak, jak go czułam. Następnie szybko go miksowałam, powstawał teledysk i przechodziłam dalej. Nie było wielkiego planu, za to sporo improwizacji. Bardziej zależało mi na uchwyceniu konkretnego momentu twórczego i podzieleniu się nim niż na niekończącym się dłubaniu i poszukiwaniu perfekcji.

– Nawiązując do tytułu „Wyprawy na...", chciałbym zapytać, dokąd obecnie zmierzasz? Gdzie chciałabyś dotrzeć, a może gdzie już byłaś i co udało Ci się po drodze odkryć? Wokół tego tytułu można zbudować wiele historii, ale najlepiej zapytać u źródła.

– Na razie każdego dnia staram się coraz czulej i uważniej wsłuchiwać w to, czego potrzebuję, i po prostu sobie to dawać. Chciałabym kontynuować tę przygodę i wypuszczać kolejne utwory w tempie, które jest dla mnie komfortowe, bez prób sprostania oczekiwaniom współczesnego rynku muzycznego. Chcę połączyć wiedzę, którą zgromadziłam przez ostatnie lata z różnych perspektyw: prowadzenia wytwórni, pracy w wytwórni, prowadzenia artystów i bycia artystką. Mam świadomość, jak wygląda dzisiejszy rynek i że trzeba publikować jak najwięcej singli, żeby pozytywnie karmić algorytmy. Jednocześnie lubię podejście oldskulowe. Cały czas pracuję nad kilkoma albumami naraz i mam ogromną nadzieję, że kiedyś twórczo dogonię to, co w tej chwili bije mi w sercu. Chciałabym dzielić się jak największą liczbą utworów, ale w bardziej zgrupowanych sytuacjach.

CAŁY CZAS PRACUJĘ NAD KILKOMA ALBUMAMI NARAZ I MAM OGROMNĄ NADZIEJĘ, ŻE KIEDYŚ TWÓRCZO DOGONIĘ TO, CO W TEJ CHWILI BIJE MI W SERCU.

– Mówisz, że masz dużo materiału i jesteś przepełniona pomysłami. Czy będzie to twórczość przeznaczona wyłącznie dla Ciebie i projektu Natalia Agape, czy zamierzasz dzielić się nią również z innymi artystami?

– Wydaje mi się, że projekty, które już zaczęłam nagrywać i nad którymi pracujemy, będą raczej moje. Nie sądzę, żebym chciała te płyty komuś oddawać. Chociaż sprzedaż koncept albumu innemu artyście jest ciekawym pomysłem, uważam, że fajnie byłoby, gdyby osoba wykonująca utwory rzeczywiście się z nimi utożsamiała. To jednak moje historie, więc raczej nie będę ich przekazywać komuś innemu.

– Nawiązując do utworu „Gorycz i miód", chciałbym zapytać, co przynosi Ci gorycz, a co osładza codzienność? Co sprawia, że jako artystka czujesz się źle, a co pozwala Ci odnaleźć przyjemność w tym, co robisz?

– Czasami, kiedy przypominam sobie wydarzenia z przeszłości i decyzje, które podejmowałam, odczuwam gorycz. Na przykład wtedy, gdy dokładałam do koncertu albo decydowałam się na występ, mimo że nie przynosił mi żadnych finansowych korzyści. Mam jednak świadomość, że była to ogromna lekcja i część pracy nad moją relacją z pieniędzmi. Miód daje mi świadomość, że mam plan, żeby rzeczywiście siebie wysłuchać, pokochać i zacząć grać koncerty dopiero wtedy, kiedy nastąpi odpowiednia wymiana energii. Każdy człowiek może przez pewien czas nadwyrężać własne siły i inwestować swój czas, ale myślę, że przez ostatnie kilkanaście lat zrobiłam już wystarczająco dużo dla swojego portfolio. Wystarczająco często brałam udział w różnych przedsięwzięciach w zamian za samo „dziękuję". Teraz zamierzam się cenić. Wcale nie muszę grać koncertów, jeśli nie będzie na nie zapotrzebowania. Miód daje mi świadomość, że będę robiła rzeczy,

eprasa.pl 08cfe9cbca

które mi służą, sprawiają przyjemność i mnie karmią, zamiast działać w odwrotnym kierunku.

– To dość rzadkie podejście. Rozmawiam z artystami w różnym wieku i większość z nich odczuwa presję, żeby zaistnieć w algorytmach, grać jak najwięcej koncertów i pokazywać się odbiorcom. Ty natomiast masz w sobie dużo luzu. Skąd taka zmiana perspektywy?

– Przez wiele lat miałam zupełnie inne podejście. Starałam się pobijać rekordy z poprzedniego roku. Jeśli jednego roku zagrałam trzydzieści koncertów na trasie, następnego chciałam zagrać czterdzieści. Później było pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Każdego roku próbowałam przekraczać kolejne granice. Tylko że to są wyłącznie liczby. Doba ma określoną liczbę godzin, a nasze życie określoną liczbę dni, której przecież nie znamy. Fajnie byłoby po prostu korzystać z tego, co mamy tu i teraz. Myślę, że zwyczajnie zmęczyłam się ciągłą gonitwą. Teraz chcę, żeby było miło. Chcę spełniać się artystycznie i dzielić muzyką, ponieważ ją kocham. Nie chcę nadmiernie inwestować ani wydawać ogromnych pieniędzy na teledyski czy producentów. Dużo się nauczyłam i chciałabym zobaczyć, dokąd zaprowadzi mnie zdobyte doświadczenie.

– Nie było Ci żal Zagi jako projektu artystycznego, który budowałaś przez lata? Zmiana pseudonimu i wizerunku to duże ryzyko. Przyzwyczaiłaś słuchaczy do określonej tożsamości, a teraz zaczynasz budować siebie na nowo.

– Z jednej strony tak, ale z drugiej zastanawiam się, czy naprawdę ktoś tak bardzo czeka na mój kolejny utwór. Czy jeśli nie wypuszczę następnej piosenki, ktoś nie będzie mógł spać, a jego rzeczywistość się zatrzyma? Przecież każdy żyje swoim życiem. Jeśli ktoś zatęskni za Zagi, zawsze może włączyć jej muzykę na Spotify. Nagrałam mnóstwo teledysków, więc jest co oglądać i czego słuchać. Wciąż będą się zdarzały sytuacje, w których zostanę zaproszona jako Zagi. Będę to robić, jeśli nastąpi odpowiednia wymiana energii.

– Jak w takim razie dzielisz siebie pomiędzy te dwa artystyczne światy? Można powiedzieć, że istnieje jakiś procentowy podział między Natalią a Zagi?

– Nie. W zeszłym roku, w maju, wydałam szósty album jako Zagi. Zagrałam też trasę koncertową obejmującą kilkadziesiąt występów. W tym momencie skupiam się przede wszystkim na tym, co robię jako Natalia Agape. Wydaję EP-kę i będę publikować kolejne piosenki. Przede wszystkim jednak skupiam się na byciu człowiekiem. Muzyka zawsze była dla mnie sposobem na uzewnętrznianie siebie i to się nie zmienia. Zmienia się tylko to, że teraz się nie spieszę. Działam wolniej, we własnym tempie, z większym luzem i bez stresu, że coś muszę zrobić tylko dlatego, że takie są oczekiwania.

– Zaczęliśmy od miłości i miłością chciałbym zakończyć tę rozmowę. Czym jest dla Ciebie miłość? Jaki jest jej najwyższy wymiar, zarówno z perspektywy człowieka, jak i artystki?

– Myślę, że to brak oczekiwań i cieszenie się chwilą. Kiedy coś mocno czujemy i coś sprawia, że wzrastamy, warto poświęcić temu właśnie ten moment. Jutro możemy się przecież obudzić i już tego nie chcieć.

EP-ka „Wyprawy na...”

Debiutanckie wydawnictwo artystki pod jej własnym imieniem i nazwiskiem jest znacznie bardziej intymne niż jej dotychczasowa twórczość. „Wyprawy na...” to album, na który składają się jedynie wokal, akustyczne instrumenty i szczere emocje bez zbędnych upiększaczy. Ta surowa, domowa estetyka stała się fundamentalną częścią języka projektu Natalii Agape, który powstaje bez dużego zaplecza i rozbudowanej produkcji.

„Wyprawy na...” to osobisty zapis tego, co działo się w głowie artystki, gdy wchodziła w nowy związek. Natalia Agape prowadzi słuchacza przez kolejne etapy budowania relacji – od fascynacji i bliskości, przez tęsknotę, uwikłanie, aż po potrzebę odnalezienia własnego, niezależnego kierunku.

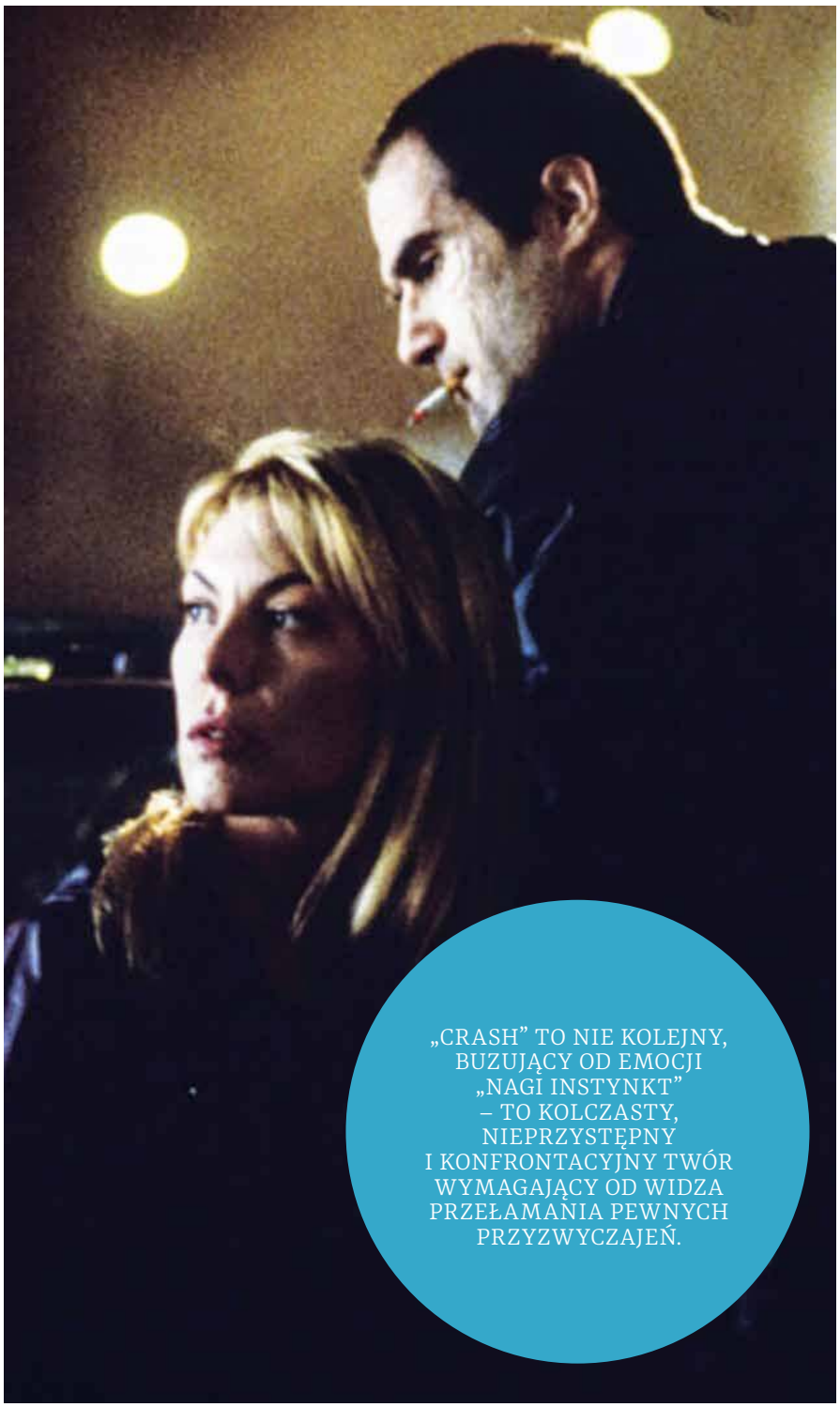
Album tworzy sześć utworów, w tym dwa – „Gorycz i miód” oraz „Słona Woda”, które są zupełnie premierowe. To świadomy odwet w stronę bardziej oldskulowego podejścia do wydawania albumów, według którego nie każda piosenka musi być singlem, a całość powinna być słuchana jako spójna historia.

eprasa.pl 08cfe9cbca

FILM

Mocniej

Sebastian Pytel



Fot. materiały dystrybutora

Wznowienia filmów, które kiedyś miały premierę w polskich kinach, jeszcze kilka lat temu były czymś niezwykłym. Zazwyczaj repertuar wzbogacały albo uznane przez Historię arcydzieła, albo reżyserskie wersje tychże arcydzieł, lekko przemontowane lub poszerzone. Komuś, kto jednak urodził się zbyt późno, by na wielkim ekranie obejrzeć na przykład „Terminatora 2”, pozostawało obejść się marzeniami. Do czasu. Sprzymierzeńcem „młodej” widowni okazała się technologia, a konkretnie cyfrowa rekonstrukcja filmów, czyli proces ocalenia starszych tytułów przed materialną degradacją przy jednoczesnym podniesieniu jakości obrazu. Drobiazgowa, nierzadko benedyktyńska praca pozwoliła wielu współczesnym kinomanom na symboliczny powrót do przeszłości. Ponowna premiera wspomnianego „Terminatora” odbyła się niewiele ponad miesiąc temu, wcześniej drugie życie zyskały u nas „Rambo”, „Milczenie owiec” i „Przekleństwa niewinności”. A to ledwie fragment całkiem pokaźnej kolekcji, haust świeżego powietrza spoza aksamitnej niewoli serwisów streamingowych.

„Crash: Niebezpieczne pożądanie” Davida Cronenberga (wznowienie dostępne od 16 października br.) ma notabene z rodzimymi portalami VOD wyraźnie na pieńku, próżno go szukać wśród zalewu kolorowych kafelków. Zresztą nic dziwnego, skoro podczas debiutu nawet polska krytyka filmowa stanęła przeciw niemu okoniem, przyprawiając mu gębę bękarta postmodernizmu. Choć gatunkowo to thriller erotyczny, to zimny, niemal kliniczny sposób realizacji (zgodny z powieściowym oryginałem) wyraźnie odrzucił ludzi pióra aurą kabotyńskiego ekscesu. Postawa obronna poniekąd była zrozumiała. „Crash” to nie kolejny

eprasa.pl 08cfe9cbca

buzujący od emocji „Nagi instynkt” – to kolczasty, nieprzystępny i konfrontacyjny twór wymagający od widza przełamania pewnych przyzwyczajeń.

Głównym wyzwaniem jest brak moralnej oceny postaci. Cronenberg nie wartościuje ich postaw, decyzji i motywacji. Nie mówi, czy to, co robią, jest dobre, złe, porządne, czy wyuzdane. Przybiera postawę bezstronnego obserwatora i przygląda się wnętrzu własnej kreacji, jakby patrzył na terrarium. Nie uświadczymy więc tak oczywistego przy większości filmów zżycia się z bohaterami, kibicowania im czy choćby zwykłego zrozumienia. Bardziej – nieme zdziwienie lub podglądanie z półdystansu. Ciężko też o momenty oddechu ze względu na brak alternatywy, spojrzenia z zewnątrz lub innej perspektywy. Przez równe sto minut przebywamy wewnątrz świata, który jest odpychający, rządzące nim prawa impulsywne i zwierzęce, a nasz przewodnik po tym świecie stopniowo się w nim rozsmakowuje. Dlaczego więc warto dać temu filmowi szansę? Przede wszystkim mamy do czynienia z niezwykle interesującym przypadkiem dystopii. Utwór kojarzony zazwyczaj wyłącznie z science fiction w „Crash” oznacza dosłownie złe miejsce. Miejsce, w którym liczy się jedynie kolejny, coraz mocniejszy bodziec, w którym granica nihilizmu jest nieustannie przesuwana w kierunku maksymalnej przyjemności.

Producent telewizyjny James Ballard (James Spader) żyje w otwartym związku ze swoją żoną (Deborah Kara Unger). Pod koniec dnia opowiadają sobie nawzajem o seksualnych podbojach, jakby relacjonowali kolejny dzień w biurze. Nietrudno się domyślić, że taki stan trwa już od dawna i oboje są nim doszczętnie znudzeni. Apatię przerywa wypadek samochodowy. James ląduje w szpitalu, w którym poznaje parę dość ekscentrycznych przyjaciół (Holly Hunter i Elias Koteas). Ludzie ci współtworzą środowisko fetyszystów automobilowych, fascynatów drogowych kraks, dla których auta są zarówno stymulantem, jak i przedłużeniem ich własnego ciała. Jeżdżą szybko i niebezpiecznie, a w wolnych chwilach obsesyjnie odtwarzają ostatnie momenty życia gwiazd, które zginęły w trasie. James wchodzi w ten „podziemny krąg” z nadzieją na nowe, ostateczne doznanie.

Cronenberg, choć reżysersko wydaje się beznamiętny, stawia bardzo ciekawe pytania, otwiera dyskusję o wciąż nieposkromionej ludzkiej seksualności. Podejście Jamesa i grupy obsesjonatów do wypadków samochodowych jest możliwie najbliższe do styku życia i śmierci, do podniety związanej z tańcem nad własnym grobem i wizji ciała przebijanego przez metalowe chrząstki maszyny. Blizny, złamania, protezy i śruby wspomagające są dowodami afektu, sensualnymi dziełami sztuki, poczwarkami, z których wylęgną się piękne motyle. Jednocześnie za tą dziwną, lecz uprawianą z pasją mieszanką pożądania, przekroczenia i transhumanizmu kryje się bezbrzeżna pustka – to ostatni krok, który można zrobić, dalej jest tylko nicość. Pęd ku katastrofie jest równie pociągający, co zaborczy, buduje dla swoich wyznawców mentalne więzienie – odbiera im sprawczość, czyniąc zakładnikami rytuału. Wyzwolenie jest jedno: śmierć w objęciach metalu. Intelektualna prowokacja kanadyjskiego reżysera sięga jeszcze głębiej. Wypadki (te prawdziwe i te inscenizowane) są jedynymi momentami prawdy i oznakami życia, które są w stanie wyrwać bohaterów z otępienia. „Crash” spokojnie można uznać za przypis do słynnej trylogii zombie George’a A. Romero. Zarówno nieumarłymi, jak i wielbicielami kraks kieruje jeden imperatyw – konieczność zaspokojenia instynktu. Sile tego parcia dorównuje jedynie bezwolność. Z tą różnicą, że trupy od Romero ciągnie do żywych, a (technicznie) żywych od Cronenberga do trupów. Znakomita jest scena z końcowej partii filmu, w której trzech głównych bohaterów podczas wieczornej przejażdżki mija prawdziwy wypadek. Wysiadają z samochodu i powoli, niczym zjawy, siadają obok ofiar, robią im zdjęcia, wchodzą na ich miejsce. Wreszcie mogą wypełnić przestrzeń własnych fantazji. I nagle zza całej perwersji wyłania się ostrzeżenie: symulacja staje się ważniejsza od rzeczywistości. Obrazek, jak z jakiejś upiornej wersji Instagrama, starannie obrobiony i wycyzelowany, zastępuje faktyczne wydarzenie, jest od niego ważniejszy. A skoro jesteśmy w symulacji, dozwolone jest wszystko, wystarczy tylko mocniej wcisnąć pedał gazu.

„CRASH” SPOKOJNIE MOŻNA UZNAĆ ZA PRZYPIS DO SŁYNNEJ TRYLOGII ZOMBIE GEORGE’A A. ROMERO. ZARÓWNO NIEUMARŁYMI, JAK I WIELBICIELAMI KRAKS KIERUJE JEDEN IMPERATYW – KONIECZNOŚĆ ZASPOKOJENIA INSTYNKTU.

„Crash: Niebezpieczne pożądanie”, reżyseria: David Cronenberg, scenariusz: David Cronenberg, obsada: James Spader, Deborah Kara Unger, Elias Koteas, Holly Hunter, Rosanna Arquette, gatunek: thriller erotyczny, produkcja: Kanada, Wielka Brytania 1996, czas: 100 minut.

eprasa.pl 08cfe9cbca

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

ROYAL BLOOD – DEAD COMPANY
WYD. WARNER



Royal Blood wracają z piątym albumem studyjnym, udowadniając, że w duecie wciąż drzemie ogromna rockowa energia. „Dead Company" to powrót do surowego, bezkompromisowego brzmienia, które przed laty przyniosło Mike'owi Kerrowi i Benowi Thatcherowi międzynarodową popularność. Artyści poprzez przesterowany bas, potężną perkusję i charakterystyczny wokal tworzą dziesięć kompozycji, w których nie brakuje ciężaru, dynamiki i stadionowego rozmachu. Zespół świadomie ogranicza eksperymenty na rzecz intensywności, stawiając na riffy, mocne rytmy i bezpośrednie refreny. Utwory takie jak „Ten Over Ten", „Ride" czy „Tapping Out" pokazują, że Royal Blood najlepiej czują się wtedy, gdy grają głośno i bez oglądania się na trendy. To album, który przypomina o sile gitarowego rocka i koncertowym potencjale brytyjskiego duetu.

KINGS OF LEON – O MY BELOVED
WYD. LOVE TAP RECORDS



Kings Of Leon na dziesiątym albumie studyjnym zaskakują wyraźnym zwrotem w kierunku bardziej kameralnego, organicznego brzmienia. „O My Beloved" odchodzi od monumentalnego rocka stadionowego, z którym grupa kojarzona jest od czasów „Only By The Night", na rzecz ciepłych gitar, południowoamerykańskich inspiracji country i bardziej intymnej atmosfery. Trzynaście kompozycji tworzy spójną opowieść o miłości, rodzinie, dojrzewaniu i codziennych doświadczeniach. Caleb Followill prezentuje tu bardziej subtelną stronę swojego wokalu, a oszczędniejsze aranżacje pozwalają wybrzmieć emocjom ukrytym w tekstach. „My Whole World", „Feel The Love" czy „Pretty Thing" pokazują zespół, który nie musi już udowadniać swojej rockowej siły za pomocą potężnych refrenów. Nie oznacza to jednak całkowitej rezygnacji z gitarowej energii. „Make It Count" przypomina o korzeniach grupy. To dojrzały, pełen przestrzeni album, który pokazuje Kings Of Leon z nowej, interesującej perspektywy.

JAMES BLUNT – AIRPLANE MODE
WYD. ATLANTIC



„Airplane Mode" to ósmy studyjny album Jamesa Blunta i jednocześnie próba powrotu do muzycznej wrażliwości, która przyniosła mu największy sukces. Brytyjski wokalista ponownie sięga po ciepłe, gitarowe brzmienia, melodyjny pop-rock i emocjonalne opowieści o miłości, przemijaniu oraz życiowych rozczarowaniach. W dwunastu kompozycjach wyraźnie słychać inspiracje brytyjską sceną przełomu lat 90. i 2000., szczególnie twórczością Coldplay czy Davida Graya. „Circles" i „Modern Love" przywołują atmosferę jego wcześniejszych dokonań, natomiast „Tastes Like Summer" wnosi więcej lekkości i wakacyjnego optymizmu. Nie brakuje również bardziej refleksyjnych momentów, czego przykładem jest poruszające „Weight of It All". Blunt nie próbuje na siłę redefiniować swojego stylu. Zamiast tego proponuje dojrzały, melodyjny materiał, który przypomina, dlaczego jego piosenki tak dobrze trafiają do słuchaczy.

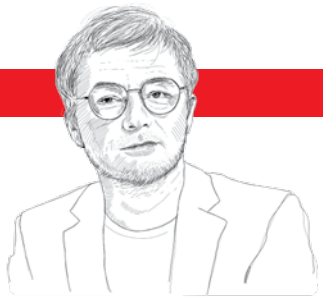
LA ROUX – OLD FLAMES
WYD. VERTIGO/UNIVERSAL



Elly Jackson, znana jako La Roux, powraca z pierwszym od sześciu lat albumem, który stanowi jeden z najbardziej osobistych rozdziałów w jej karierze. „Old Flames" czerpie inspirację z doświadczenia rozpadu wieloletniego związku, a emocjonalne rozliczenia z przeszłością stają się punktem wyjścia do muzycznych poszukiwań. Charakterystyczny dla artystki syntetyczny pop nadal pozostaje fundamentem jej twórczości, jednak tym razem został wzbogacony o wyraźniejsze wpływy R&B, europopu i brzmień lat 90. „Cabin Fever" przyciąga zmysłowym rytmem i nowoczesną produkcją, natomiast „Lose Myself" oraz „Falling" pokazują bardziej melancholijną stronę wokalistki. Nie wszystkie eksperymenty okazują się równie przekonujące, a niektóre kompozycje skręcają w stronę dość konwencjonalnego popu. Mimo to Jackson zachowuje własną tożsamość i charakterystyczną wrażliwość. „Old Flames" to opowieść o stracie, zmianie i próbie odnalezienia siebie na nowo, ubrana w atrakcyjną, elektroniczną formę.

eprasa.pl 08cfe9cbca

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Rządy nawiedzonych

Jan Wróbel

Najlepszy reset, obejmujący zmianę konstytucji w sprawie sądownictwa konstytucyjnego, to zresetowanie samego Trybunału, a nie tylko sposobu jego wyboru. W RP roku 2026 – podobnie jak w poprzednich latach – środowiska nawiedzonych przeciwników polityki opartej na kompromisie są faktem. Trzeba wyciągać wnioski.

Pomysł Polskiego Stronnictwa Ludowego na „reset" w sprawie TK powstał po wydarzeniach z 30 października. Stanowi on gratkę dla tych, którzy uwielbiają skomplikowane instrukcje do gier planszowych. Większość taka tu, większość owaka tam, po drodze konsultacje między wszystkimi świętymi i wreszcie wymuszony kompromis pomiędzy marszałkiem Sejmu (ostatecznie to on proponuje listę sędziów, jedną), prezydentem (może wetować kandydatury), parlamentarzystami i senatorami. Oczywiście skomplikowanie pewnej propozycji nie unicestwia jej sensowności.

Inny pomysł, autorstwa Tomasza Zalasińskiego, powstał kilka miesięcy przed wydarzeniami z 30 października i na dodatek był stosunkowo łatwy do wprowadzenia (i przy okazji do zrozumienia). Wreszcie, co ma pewne znaczenie dla opowieści, dała mu stempel Fundacja Batorego, zatem fundacja bliska rządowej koalicji i strawna dla samego Donalda Tuska.

W tej instrukcji obsługi rozwiązania kryzysu siedmiu sędziów wybierałby Sejm, pięciu Senat, trzech prezydent – tak, aby żaden z tych organów nie mógł samodzielnie utworzyć całego Trybunału. Kadencja prezesa TK byłaby krótsza, by wzmocnić kolegialność Trybunału. Apolityczność sędziów wspomagałaby obowiązkowa karencja – parlamentarzyści i ministrowie mogliby objąć miejsce w TK dopiero cztery lata po zakończeniu, by tak rzec ładnie, misji w parlamencie, Parlamencie Europejskim czy w rządzie.

W CZYM REFORMA KRS MIAŁABY BYĆ GORSZA OD REFORMY TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO?

Pomysł był, ale nie chwycił. Dlaczego, to akurat wiemy – w obozie władzy wygrywał inny pomysł, z gatunku „Hajda na Moskala!" (tu: na PiS i jego sędziów w Trybunale). Nawet w ramach gry pozorów nie zaproponowano opozycji konstytucyjnego paktu na rzecz odrodzenia sądownictwa konstytucyjnego. Po prostu – jeżeli raz uznamy wartość porozumienia co do niezależnych i sprawnie działających instytucji, to jak wytłumaczyć wyborcom, że jesteśmy na tak w jakiejś sprawie, a za to na nie w innych?

W czym reforma KRS miałaby być gorsza od reformy Trybunału? Reforma sądów powszechnych? Przywrócenie zasady, że edukacja jest narodowa, a nie środowiskowa? I zasady, że polska polityka zagraniczna nie podlega widowiskowym wojnom o stanowiska i eksponowaniu sporu „małego" i „dużego" pałacu? W ogóle jak można by podważać legitymizację wyborczą prezydenta RP, gdyby zapanował powszechny reset? I częstować się pomówieniami o agenturalne wysługiwanie się wiadomym obcym siłom?

Świat straciłby swój smak. Przynajmniej świat aktywów partyjnych i osób nawiedzonych. Niby to mniejszość, ale – jak się zdaje – pod ochroną.

eprasa.pl 08cfe9cbca

WYGRAŁA W STRASBURGU,

ale nadal nie odzyskała syna

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Norwegia naruszyła prawo Agnieszki Szuby do życia rodzinnego. W postępowaniu uczestniczył polski rząd. Mimo zwycięstwa w Strasburgu Polka nadal nie odzyskała syna, którego norweskie służby odebrały jej w 2012 roku. Ostatni raz widziała go w listopadzie 2014 roku. Dziś apeluje do polskich władz o **ponowne zaangażowanie** w sprawę, a do norweskiej kancelarii Elden o dalszą pomoc prawną. – Nie chcę kolejnych pism i obietnic. Potrzebuję konkretnych działań, żeby odzyskać dziecko – mówi.

– Rząd polski wygrał przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie A.S. vs Norway 60371/15. Norwegia została uznana za winną naruszenia Pani prawa do życia rodzinnego. A jednak nadal nie ma Pani przy sobie syna. Jak wygląda Pani sytuacja dzisiaj?

– Wciąż nie mogę zobaczyć własnego dziecka. Wyrok zapadł 17 grudnia 2019 roku, a uprawomocnił się 17 marca 2020 roku. Miałam nadzieję, że po takim rozstrzygnięciu norweskie instytucje rozpoczną konkretne działania zmierzające do odbudowania naszej więzi.

Według mojej wiedzy powstał plan dotyczący możliwości powrotu syna, ale nie wyznaczono terminów spotkań ani kolejnych działań. Nie nastąpił przełom, na który tak długo czekałam.

Wygrana w Strasburgu nie sprawiła, że odzyskałam kontakt z synem.

– W postępowaniu przed Trybunałem uczestniczył polski rząd. Czy oczekuje Pani, że Polska ponownie zaangażuje się w sprawę?

– Tak. Polska przystąpiła do postępowania w Strasburgu i przedstawiła swoje stanowisko. To było dla mnie niezwykle ważne. Dziś apeluję do polskiego rządu, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i służb konsularnych, żeby nie pozostawiały mnie samej z tym wyrokiem.

Chciałabym, żeby polskie władze włączyły się w działania prowadzące do rzeczywistego wykonania wyroku i odzyskania przeze mnie syna. Żeby pomogły wyjaśnić, dlaczego mimo rozstrzygnięcia Trybunału nadal nie wznowiono naszych kontaktów.

Rozmawiałam z przedstawicielami polskich władz, parlamentarzystami, prosiłam o interwencje.

> CHCIAŁABYM, ŻEBY POLSKIE WŁADZE WŁĄCZYŁY SIĘ W DZIAŁANIA PROWADZĄCE DO RZECZYWISTEGO WYKONANIA WYROKU I ODZYSKANIA PRZEZE MNIE SYNA.

eprasa.pl 08cfe9cbca



Fot. arch. A. Szuby

Zwracam się również do norweskiej kancelarii adwokackiej Elden, z której pomocą wiążę nadzieje, o dalsze zaangażowanie prawne w moją sprawę. Nie możemy poprzestać na samym wyroku. Mam poczucie, że nic się nie dzieje, a czas nieubłaganie ucieka.

– Czy ma Pani obecnie jakiekolwiek informacje o synu?

– Docierają do mnie różne informacje, również takie, które budzą mój niepokój. Z dokumentów, z którymi się zapoznawałam, wynikało, że przeżywał trudności emocjonalne.

Przez lata wysyłałam mu listy, zdjęcia i prezenty. Później dowiedziałam się, że korespondencja nie zawsze była przekazywana. Boję się, że syn może myśleć, iż o nim zapomniałam. Wiem, że przedstawiano mu też taką wersję zdarzeń, że już go nie chcę. A przecież tak nie jest.

– Ostatni raz widziała Pani syna w listopadzie 2014 roku. Od tamtej chwili minęło dwanaście lat. Jak znosi Pani tę rozłąkę?

– Nie można się do tego przyzwyczaić. Kiedy go zabrano, był maleńkim chłopcem. Pamiętam jego uśmiech, zabawy, to, jak brał mnie za rękę. Wiem, że gdy jakiś czas temu pytano go o mnie, to znał moje imię.

Dziś jest już prawie dorosły. Straciłam możliwość uczestniczenia w jego dorastaniu. Najbardziej boli mnie to, że tego czasu nie można cofnąć.

– Cofnijmy się zatem do początku tej historii. Jak doszło do zainteresowania Pani rodziną przez norweskie służby?

– Mój syn urodził się 31 grudnia 2009 roku. Był moim największym szczęściem. Chciałam zapewnić mu jak najlepszą opiekę, dlatego pytałam lekarzy i pielęgniarki o jego zdrowie i rozwój.

Tymczasem już w kwietniu 2010 roku zaczęto kierować zgłoszenia do Barnevernet, norweskich służb ochrony dzieci. Jednym z zarzutów było to, że zadaję zbyt wiele pytań dotyczących syna.

Skierowano nas do ośrodka dla matek z dziećmi, gdzie obserwowano nasze relacje. W sierpniu otrzymałam pozytywną opinię. Stwierdzono, że dziecko rozwija się prawidłowo, a ja mam z nim dobry kontakt. Sprawę zamknięto.

– Dlaczego więc służby ponownie zaczęły Panią kontrolować?

– Pod koniec 2010 roku kontrole powróciły. Sprawdzano między innymi, czy wieczorem jestem z dzieckiem w domu. Nakazano mi również uczęszczanie z synem do przedszkola.

Synek miał problemy zdrowotne. Najpierw rozpoznano u niego alergię na mleko, później astmę dziecięcą. Zdarzały się silne ataki choroby, wymagał pomocy lekarzy i szpitala.

Kiedy poprosiłam o trzymiesięczną przerwę w przedszkolu ze względu na jego zdrowie, ponownie zgłoszono mnie do służb, ponieważ dziecko nie uczęszczało do placówki.

– Kiedy odebrano Pani dziecko?

– Pod koniec 2011 roku służby nalegały, żebym ponownie zamieszkała z synem w specjalnym ośrodku. Nie rozumiałam dlaczego, skoro wcześniejsze opinie były pozytywne.

Kilka tygodni później dowiedziałam się, że zabrano mojego synka z przedszkola. To był szok. Nikt mnie na to nie przygotował. Od tamtej chwili rozpoczęła się moja wieloletnia walka.

– Na początku mogła się Pani jednak spotykać z synem.

– Tak. Synek bardzo cieszył się na mój widok, biegł do mnie, śmiał się, bawiliśmy się razem. Przynosiłam

eprasa.pl 08cfe9cbca

mu zabawki, ulubione soczki. Chciałam, żeby wiedział, że mama o nim pamięta.

Najtrudniejsze były pożegnania. Później spotkania zaczęto ograniczać, aż mogłam widywać go tylko dwa razy w roku.

Argumentowano, że dziecko źle reaguje na kontakty ze mną. Tymczasem podczas spotkań bardzo dobrze się bawiliśmy. Psycholog, który analizował nagranie jednego z widzeń, wskazywał, że trudne reakcje syna mogły wynikać właśnie ze zbyt rzadkich kontaktów i tęsknoty za matką.

– Co wydarzyło się podczas ostatniego spotkania w listopadzie 2014 roku?

– Synek był już przywiązany do rodziny zastępczej, ale pamiętam szczególnie jeden moment. Pod koniec spotkania sam wziął mnie za rękę i zaprowadził do pokoju zabaw.

Dla mnie był to bardzo ważny gest. Czułam, że nadal istnieje między nami więź. Nie wiedziałam, że może to być nasze ostatnie spotkanie.

Na miejscu pojawił się także mój ojciec, dziadek dziecka. Czekał na dole, ponieważ nie miał uczestniczyć w widzeniu. Przyjechała policja i pojawiły się podejrzenia dotyczące możliwości uprowadzenia dziecka.

Byłam zdumiona. Ostatecznie pozbawiono mnie możliwości dalszych spotkań z synem.

– W 2015 roku ponownie próbowała Pani odzyskać opiekę przed norweskim sądem.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam. Ukończyłam kursy związane z opieką nad dziećmi, odbyłam praktyki w przedszkolu, dostałam propozycję zatrudnienia.

Podczas rozprawy zeznawało czternastu świadków, między innymi lekarze, psychologowie i osoby znające moje relacje z dzieckiem. Moja przełożona mówiła, że dzieci bardzo mnie lubią i mam z nimi dobry kontakt.

Mimo tego sąd odmówił mi odzyskania opieki, a dodatkowo pozbawił mnie kontaktów z synem. Utajniono przede mną nawet jego adres. Odwoływałam się, ale kolejne instancje nie zmieniły decyzji.

– Wówczas skierowała Pani skargę do Strasburga. Co zdecydowało o zwycięstwie?

– Chciałam, żeby sędziowie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka poznali pełną dokumentację, także korzystne dla mnie opinie lekarzy i psychologów.

Trybunał stwierdził, że Norwegia naruszyła artykuł 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, czyli moje prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego.

Zwrócono uwagę na sposób podejmowania decyzji przez norweskie instytucje, oceniania moich relacji z synem oraz ograniczania kontaktów. To był dla mnie przełom, ponieważ wreszcie uznano, że moje prawa zostały naruszone.

Ale najważniejsze pytanie pozostaje bez odpowiedzi: dlaczego mimo tego wyroku nadal nie mogę spotkać się z dzieckiem?

ZABRANO MOJEGO SYNKA Z PRZEDSZKOLA. TO BYŁ SZOK. NIKT MNIE NA TO NIE PRZYGOTOWAŁ. OD TAMTEJ CHWILI ROZPOCZĘŁA SIĘ MOJA WIELOLETNIA WALKA.

– Chciałaby Pani, żeby syn wrócił do Pani w Norwegii czy żebyście wspólnie zamieszkali w Polsce?

– Najważniejsze, żebyśmy mogli być razem. Czy będzie to Norwegia, czy Polska, ma drugorzędne znaczenie.

Chciałabym odzyskać normalne życie rodzinne. Móc z nim rozmawiać, troszczyć się o niego, być obecna w jego życiu. Pamiętam, jak podczas naszych spotkań się cieszył, jak się bawiliśmy, jak wziął mnie za rękę. Wiem też, że kiedyś pytał o mnie. To daje mi nadzieję.

Chciałabym móc mu powiedzieć, że nigdy o nim nie zapomniałam. Że walczyłam przez wszystkie te lata. Że nie zostawiłam go z własnej woli.

Dziś jestem w bardzo trudnej sytuacji, także materialnej. Apeluję do polskiego rządu i do osób, które mogą pomóc w tej sprawie: nie pozwólcie, żeby zwycięstwo w Strasburgu pozostało tylko na papierze.

Od redakcji:

17 grudnia 2019 roku Europejski Trybunał Praw Człowieka w sprawie A.S. przeciwko Norwegii (skarga nr 60371/15) jednogłośnie stwierdził naruszenie artykułu 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

W postępowaniu uczestniczył polski rząd.

Trybunał uznał, że proces decyzyjny prowadzący do odmowy zakończenia pieczy zastępczej, pozbawienia matki kontaktów z synem i utajnienia jego miejsca pobytu nie zapewnił należytego uwzględnienia jej praw i interesów.

Przyznał skarżącej 25 tys. euro zadośćuczynienia.

Wyrok stał się ostateczny 17 marca 2020 roku.

Orzeczenie nie zawierało bezpośredniego nakazu przekazania dziecka matce. Na podstawie powyższego wyroku kilkoro dzieci w podobnej sytuacji wróciło już do swoich rodzin. Niestety, Agnieszka Szuba wciąż czeka na to, by móc choć zobaczyć swojego syna.

eprasa.pl 08cfe9cbca

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Dzień, który zmienił wszystko

Sześć przerwanych historii i sześć rodzin, dla których świat już nigdy nie będzie taki sam. Tragedia w Krakowie powinna stać się momentem narodowej refleksji. Nie tylko nad bezpieczeństwem, działaniem służb i przygotowaniem państwa na sytuacje kryzysowe, lecz także nad naszą własną odpowiedzialnością. Pod warunkiem, że nie przejdziemy nad tym do porządku dziennego.

Są sytuacje, wobec których słowa wydają się bezradne. To jedna z nich. Można napisać o szoku, niedowierzaniu, bólu rodzin i współczuciu dla bliskich ofiar. Można powtórzyć wszystkie zdania, które zwykle pojawiają się po podobnych wydarzeniach. Tyle że wszystko będzie blednąć przy ogromie tragedii.

Milczeć jednak nie można. I to nie dlatego, by kogokolwiek oskarżać, choć pewne pytania paść muszą, ale po to, by wyciągnąć odpowiednie wnioski. Najważniejsze pytanie powinno więc brzmieć: co zrobić, żeby podobna tragedia nie wydarzyła się ponownie? A jeżeli nie da się jej całkowicie zapobiec, to co zrobić, żeby następnym razem ocalić więcej osób?

Odpowiedź na te pytania, nie mówiąc już o wcieleniu jej w życie, jest oczywiście dużo trudniejsza niż zwykłe polityczne bicie piany. Wymaga ona bowiem nie tylko odpowiedniej diagnozy, ale również przyznania, że pewne rzeczy trzeba zmienić, a my sami nie zawsze jesteśmy przygotowani na sytuacje, które jeszcze wczoraj wydawały się niewyobrażalne.

Przez lata przyzwyczailiśmy się do myślenia o Polsce jako o kraju stosunkowo bezpiecznym. Zamachy terrorystyczne czy masowe ataki na przypadkowych ludzi kojarzyły się nam przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią. Krakowska tragedia każe zrewidować ten sposób myślenia. I to nie dlatego, że przestało być bezpiecznie, bo Polska na szczęście wciąż jest wolna od wielu problemów Zachodu. Chodzi jednak o świadomość, że bezpieczeństwo wymaga przygotowania, a nie wyłącznie przekonania, iż wszystko będzie dobrze.

Zamiast nieustannej dyskusji o wyszkoleniu funkcjonariuszy powinniśmy oczekiwać od klasy politycznej realnych działań na ich rzecz. Tak, by np. ćwiczenia na strzelnicy nie były fikcją, jak jest obecnie. Zwłaszcza że sytuacje skrajne wymagają regularnego, realistycznego treningu.

Podobnie jest jednak z każdym z nas. Przyzwyczailiśmy się, że bezpieczeństwo zapewnia państwo. Policja ma nas chronić, straż pożarna ratować, pogotowie udzielać pomocy. To oczywiście prawda, ale nawet najlepiej zorganizowane służby nie są w stanie znaleźć się natychmiast w każdym miejscu. Wówczas ogromne znaczenie ma zachowanie zwykłych ludzi. Nie chodzi o tworzenie społeczeństwa żyjącego w permanentnym stanie mobilizacji, ale chodzi o elementarną zaradność. W związku z tym każdy z nas powinien odpowiedzieć sobie szczerze na kilka pytań i ewentualnie zacząć pracę od siebie. Przygotowanie daje bowiem spokój, który kiedyś może nam uratować życie.

eprasa.pl 08cfe9cbca

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **17 LISTOPADA** zdarzyło się:

1869 – otwarto Kanał Sueski;

1892 – założono Polską Partię Socjalistyczną (PPS);

1918 – Naczelnik Państwa Józef Piłsudski powołał rząd Jędrzeja Moraczewskiego.



Fot. Wikimedia Commons

Tu jest Strasse der Polizei, A NIE SANATORIUM!

Wieczorem 19 maja 1942 r. do kasyna gry prowadzonego przez Niemców, które mieściło się przy Alei Szucha 29, weszli mężczyzna i kobieta. On miał lat 32, ona 25. Wyglądali na parę, która przyszła się **zabawić**. Wyglądali na takich, którzy chcą zagrać w ruletkę, napić się dobrego alkoholu i zjeść coś bardziej wykwintnego niż zupa warzywna okraszona skwarkami, bo o dziwo ceny w kasynie były nad wyraz przystępne.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 08cfe9cbca

Ona trzymała go pod rękę, gdy wchodzili do środka. Ktoś, kto by się im uważniej przyjrzał, dostrzegłby, że gdy usiedli przy stoliku i czekali na kelnera, kobieta zdjęła z ramienia torebkę, następnie położyła ją na podłodze i pchnęła nogą za kotarę. Gdyby ktoś zażądał od nich dokumentów, dowiedziałby się, że ona to urodzona w Niemczech Barbara Zakrzewska, a on to Krzysztof Dziadowski.

Bomba w szulerni

Jak informował w październiku 1940 r. „Warschauer Zeitung", wszyscy krupierzy zatrudnieni w kasynie szkolili się kilka miesięcy w specjalnie na ten cel zorganizowanej w Rzeszy szkole. Gośćmi kasyna mogli być tylko Polacy, oficjalnie nie mieli do niego wstępu ani Niemcy, ani folksdojcze. Akowski „Biuletyn Informacyjny" wprost nazywał kasyno szulernią, a tych, którzy do niego chodzili, „kreaturami nie mającymi nic wspólnego z narodem polskim". „Wśród gości kasyna nie widać twarzy inteligentnych, dominuje typ spotykany wśród gorszej części publiczności wyścigowej. Publiczność ta traktowana jest przez służbę kasyna jak swego rodzaju hołota" – pisano w podziemnej bibule.

Zygmunt Dall, jeden z pracowników kasyna, wspominał, że wśród bywalców szulerni byli właściciele sklepów, muzycy, kelnerzy, handlarze, regularni hazardziści, spekulanci kombinatorzy, szpicle. Kobiety w różnym wieku też nie omijały kasyna. Dall pisał wręcz, że „Warszawiacy walili drzwiami i oknami" do kasyna, a publikowanie w prasie podziemnej nazwisk osób je odwiedzających w ogóle nie pomagało. Codziennie w kasynie gościło nawet 1200 gości, podziemie akowskie musiało więc zareagować i zareagowało.

W torebce, która zniknęła za ciężką pluszową kotarą, oddzielającą restaurację od sali ze stołami do gry, była bomba zegarowa owinięta w sweter, by ten nieco wygłuszył tykanie. Zapalnik ustawiony był równo na godzinę 23. Pierwotnie torebka z bombą miała znaleźć się pod stołem krupiera, ale to okazało się niemożliwe.

Zakrzewska i Dziadowski zamówili kolację, a gdy orkiestra zagrała utwór czeskiego kompozytora Zdenka Fibicha, wyszli wolnym krokiem z kasyna. Nikt nie zwrócił na nich uwagi oraz na to, że kobieta już nie miała torebki. Na ulicy czekała na nich obstawa składająca się z uzbrojonych żołnierzy Armii Krajowej.

Bomba wybuchła równo o godzinie 23. „Biuletyn Informacyjny" podawał, że w wyniku wybuchu siedem osób zostało poważnie rannych, z czego jedna osoba zmarła. Frekwencja zmalała, ale tylko nieco i tylko na chwilę.

Dopiero bombardowanie Warszawy przez sowieckie samoloty, dokładnie rok później – 12 maja 1943 r., spowodowało, że frekwencja diametralnie spadła. Kilka miesięcy później, w nocy z 1 na 2 lutego 1944 r., Niemcy aresztowali gości kasyna. Spośród zatrzymanych 385 osób 100 zostało rozstrzelanych. Ostatecznie kasyno zostało zamknięte kilka dni przed wybuchem powstania – 22 lipca 1944 r.

Gdyby w którymś momencie akcji ktoś odkrył, że on i ona to zamachowcy, nie daliby się złapać żywcem Niemcom. Tadeusz Koral i Halina Karin-Dębnicka, bo tak się naprawdę nazywali, z Wydziału Sabotażu organizacji „Polskich Socjalistów", mieli przy sobie ampułki z cyjankiem, które mieli przegryźć. W ten sposób uniknęliby brutalnych przesłuchań, które odbywałyby się czterysta metrów dalej.

Aleja Szucha 25 – ten adres wywoływał wśród Warszawiaków grozę. Jak pisał Władysław Bartoszewski: „Nazwa Alei Szucha stała się synonimem bezmiaru okrucieństw i cierpienia".

ALEJA SZUCHA 25 – TEN ADRES WYWOŁYWAŁ WŚRÓD WARSZAWIAKÓW GROZĘ. JAK PISAŁ WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI: „NAZWA ALEI SZUCHA STAŁA SIĘ SYNONIMEM BEZMIARU OKRUCIEŃSTW I CIERPIENIA".

Tam katowali „Rudego"

W budynku, w którym przed wojną mieściło się Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, od października 1939 r. była siedziba Urzędu Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa Dystryktu Warszawskiego. Pracowało w niej kilkuset Niemców, niektórzy z nich mieli blisko do pracy, ponieważ po wyrzuceniu uprzednich lokatorów zakwaterowano ich w pobliskiej kamienicy przy Alei Szucha 16. Niedaleko, bo pod adresem Szucha 23, mieściła się Komenda Policji Porządkowej i Komenda Żandarmerii. Była to po prostu dzielnica policyjna.

To właśnie tam, przy Szucha 25, odbywały się brutalne przesłuchania,

eprasa.pl 08cfe9cbca

podczas których torturującymi byli niemieccy gestapowcy, a przesłuchiwanymi – Polacy.

W tym gmachu brutalnie przesłuchiwano m.in. Jana Bytnara „Rudego". Aleksander Kamiński pisał w „Kamieniach na szaniec": „Na stole leżały niektóre rzeczy, znalezione w mieszkaniu Rudego. Między innymi duża pieczęć z kotwicą z czasów Małego Sabotażu. Jeden z gestapowców umaczał pieczęć w tuszu i ostemplował nią twarz i głowę Rudego. Rudy był zdrów, lecz chudy i dość drobny. Już pierwsze bicia doprowadziły go do utraty przytomności. Zemdlenia były ulgą w torturach. Nadstawiał więc umyślnie głowę na razy, by stracić przytomność i nie czuć męki. Zemdlonego budzono do życia kopaniem w brzuch, deptaniem rąk i wierceniem butami między nogami. Już pierwszego dnia męki Rudy nie mógł stać. Musiano go nosić na noszach lub ciągnąć omdlałego za ręce, włócząc głową i nogami po korytarzach i schodach".

„Rudego" odbili koledzy w słynnej akcji pod Arsenałem – 26 marca 1943 r. – gdy po przesłuchaniu przewożono go z Szucha na Pawiak. Brutalne tortury spowodowały takie wyniszczenie jego organizmu, że Jan Bytnar zmarł cztery dni później.

Notabene znamienne jest to, że tak, jak dzieci w gettach rozsianych po całej okupowanej Polsce bawiły się w selekcję i wywózki, tak dzieciaki w stolicy bawiły się w odbijanie więźniów transportowanych z Szucha do więzienia lub z Pawiaka do siedziby Gestapo.

WIĘŹNIARKA, ZWANA PRZEZ WARSZAWIAKÓW „BUDĄ", WYJEŻDŻAŁA CODZIENNIE Z WIĘZIENIA NA PAWIAKU O GODZ. 8 RANO. PO ODBICIU „RUDEGO" I INNYCH WIĘŹNIÓW „BUDY" WZMOCNIONO, OBUDOWANO JE MOCNYMI ŚCIANAMI, DRZWI ZABEZPIECZONO SZTABĄ ORAZ ZWIĘKSZONO LICZBĘ KONWOJENTÓW.

Wymyślne tortury

Więźniarka, zwana przez Warszawiaków „budą", wyjeżdżała codziennie z więzienia na Pawiaku o godz. 8 rano. Po odbiciu „Rudego" i innych więźniów „budy" wzmocniono, obudowano je mocnymi ścianami, drzwi zabezpieczono sztabą oraz zwiększono liczbę konwojentów.

„Buda" zaczynała trasę przy ul. Dzielnej, potem jechała przez Nalewki, Bielańską, przecinała Plac Teatralny i wjeżdżała w Wierzbową, mijała Plac Marszałka Piłsudskiego, jechała Królewską, Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, Alejami Ujazdowskimi i wjeżdżała w Szucha. W południe więźniarka transportowała część tych, których już przesłuchano, i zabierała kolejną partię więźniów. Ostatni kurs na Pawiak odbywał się wieczorem.

W więzieniu wieczorem informowano, kto jedzie w dniu następnym na przesłuchanie. Wywołani więźniowie byli budzeni o godz. 5 rano, po goleniu i pitej na szybko „kawie" wyprowadzano ich przed kancelarię i tam czekali na „budę".

W siedzibie Gestapo więźniów wprowadzano do czterech cel nazwanych przez Polaków „tramwajami", by tam czekali na przesłuchanie. Cele pozbawione okien mieściły się w suterenie. Od korytarza dzieliła je zamykana krata. W środku więźniowie byli sadzani na drewnianych ławkach ustawionych w dwóch rzędach wzdłuż ścian, stąd nazwa, która przylgnęła do tych cel: „tramwaj". Więźniowie siedzieli więc jeden za drugim, plecami do kraty, a przed oczami mieli napis na ścianie po niemiecku: „Rozmowy i palenie surowo wzbronione". Choć nie było napisu mówiącego o tym, że nie można odwracać głowy, to o tym zakazie przekonali się ci, którzy to zrobili, za co natychmiast byli bici przez strażników. Na korytarzu wciąż ryczało ustawione na cały regulator radio, ale ono i tak nie zagłuszało krzyków torturowanych.

Jak wyglądało przesłuchanie? Niemal zawsze zaczynało się niewinnie. Przesłuchujący Niemiec kazał więźniowi podać życiorys, potem mówił, że wie o nielegalnej robocie przesłuchiwanego, bo ten był obserwowany przez Gestapo.

– My wiemy wszystko, a ty kłamiesz! – w końcu krzyczał gestapowiec i w tym momencie kończył się uprzejmy ton, a rozpoczynało katowanie.

„Przejście od tonu wytwornego do bicia to jedno mgnienie oka. Gestapowiec przesłuchujący poczęstuje

eprasa.pl 08cfe9cbca

papierosem. Jeśli więzień papierosa nie weźmie, dostaje w twarz, że śmie odmówić, jeśli weźmie, dostaje w twarz, że śmie wziąć. Gestapowiec przesłuchujący poczęstował papierosem, sam służył więźniowi ogniem. Za chwilę wchodzi inny i wali nahajem więźnia, jak on śmie w obecności jego szefa palić papierosa, równocześnie przesłuchujący gestapowiec pisze protokół zeznań, jakby nie widział, że obok niego biją w straszny sposób jego przesłuchiwanego. W tym samym pokoju siedzi stenotypistka, Niemka, pisze na maszynie, nic jej nie przeszkadza, że obok niej zabijają człowieka" – wspominał Kazimierz Szpotański, który doświadczył przesłuchań przy Szucha.

Jeżeli przesłuchiwany nie przyznawał się, był bity; jeżeli ktoś się złamał i wyjawił potrzebne Niemcom informacje, również był dalej bity, aby powiedział jeszcze więcej.

Co kryło się za zdaniem „więzień był bity"? Nie było to tylko ordynarne okładanie więźnia pięściami czy kopanie. Zeznania wymuszano również innymi sposobami, bardziej „wyszukanymi". Przecinanie warg, miażdżenie nosa lub krocza, wybijanie zębów, wyłamywanie rąk, bicie w opuszki palców, łamanie żeber, walenie w nerki. Gestapowcy stosowali przy tym gumowe pałki, młotki, pejcze, stalowe pręty, nahajki uzbrojone drutem. Jeżeli przesłuchujący tracił przytomność, wtedy polewano go wodą i dalej bito, aż do kolejnej utraty przytomności. Potem takiego zmaltretowanego człowieka, jeżeli jeszcze żył, przenoszono na noszach do „budy" i wieziono na Pawiak.

Więzień Michał Pacholski zeznawał po wojnie przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, że na tym nie kończyła się pomysłowość gestapowców:

– Przebywający ze mną w celi nieznanego mi nazwiska Polak, aresztowany w Kijowie, opowiadał, że podczas badania przy Szucha spięto mu ręce kajdankami, założono za kolana, pod kolana podłożono kij oparty na biurkach i w tej pozycji badano go, bijąc w nielitościwy sposób.

Pod każdą szerokością geograficzną więźniowie potrafią w ten lub inny sposób przesłać z więzienia gryps na drugą stronę. Nie inaczej było w Warszawie. Anonimowy więzień raportował w grypsie, który się zachował: „Jestem izolowany. Mam bardzo źle [...]. Badany byłem do dziś trzy razy: 20 i 30 stycznia, 20 lutego. Zeznania odbywały się w czasie tortur. Pierwszy raz rozebrano mnie do koszuli i bito po głowie tępymi narzędziami. Kontuzjowano lewą stronę głowy. Po całym ciele bito mnie pałką gumową i młotkiem. Kilkakrotnie traciłem przytomność. Oprawców było dziewięciu. Bito mnie na zmianę kilka godzin, przedkładając różne dowody [...]. Następnym razem, 30 stycznia, rozebrano mnie do naga i znów powtarzano, bijąc, szereg pytań z pierwszego badania [...]. Bito przy tym pałkami gumowymi i batem zakończonym ciężarkami z żelaza".

„PRZEJŚCIE OD TONU WYTWORNEGO DO BICIA TO JEDNO MGNIENIE OKA. GESTAPOWIEC PRZESŁUCHUJĄCY POCZĘSTUJE PAPIEROSEM. JEŚLI WIĘZIEŃ PAPIEROSA NIE WEŹMIE, DOSTAJE W TWARZ, ŻE ŚMIE ODMÓWIĆ, JEŚLI WEŹMIE, DOSTAJE W TWARZ, ŻE ŚMIE WZIĄĆ".

Niemcy torturowali nie tylko mężczyzn, w tym chłopców i starców, ale również kobiety w różnym wieku, również te będące w ciąży.

Ulica policyjna

Gdy 1 sierpnia 1944 r. w Warszawie wybuchło powstanie, gmach przy Szucha 25 był miejscem, w którym gromadzono mieszkańców z zajętych przez Niemców południowych dzielnic miasta. Niemcy, znani ze skrupulatności, nie prowadzili wtedy żadnej ewidencji. Większość Warszawiaków, którzy tam trafili, została zamordowana na podwórzu oraz w zrujnowanym gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (obecnie mieści się tam Kancelaria Prezesa Rady Ministrów). Po wojnie w piwnicach GISZ, w których Niemcy urządzili prowizoryczne krematorium, znaleziono prochy ludzkie. Ważyły 5578,5 kg.

Od kilkunastu tygodni przez wszelakie media przewijają się informacje o tym, co dzieje się w siedzibie Trybunału Konstytucyjnego i w jego pobliżu. Aleja Jana Chrystiana Szucha 12A nie schodzi praktycznie z czołówek gazet, szczególnie po tym, co stało się tam pod koniec października, gdy na teren Trybunału weszła policja. Patrząc na to, co się tam stało w czasie okupacji i co wciąż się dzieje, gdy piszę ten tekst, mam w pamięci, że Niemcy przemianowali polską nazwę ulicy na własną: Strasse der Polizei. Właśnie tę nazwę usłyszał młody więzień Antoni Reński przesłuchiwany przez gestapowców w piwnicach gmachu przy Szucha 25:

– Wstawaj! Za długo już leżysz. Tu jest Strasse der Polizei, a nie sanatorium!

Dziś pod tym adresem mieści się Ministerstwo Edukacji Narodowej, na czele którego stoi „ministra" Barbara „Gospodarka" Nowacka, nie tylko nieznająca zasad języka polskiego, ale też bredząca o tym, że „na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady".

eprasa.pl 08cfe9cbca

Religia

Jak owce między WILKI

„List do młodego księdza” autorstwa ks. Jerzego Szymika oraz oświadczenie ks. Rafała Główczyńskiego znanego jako „Ksiądz z osiedla” wywołały dyskusję, której oś można sprowadzić do kwestii fundamentalnej: **czy ksiądz to zawód, czy powołanie**?

Agnieszka Żurek



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 08cfe9cbca

Do ludzi obojętnych, na pracę bez nagrody, oto jestem, poślij mnie. Jak owce między wilki, na walkę z panem świata, oto jestem, poślij mnie – głoszą słowa piosenki autorstwa brazylijskiego księdza i muzyka José Fernandesa de Oliveira.

Z wiary i krwi

W powyższym cytacie zawiera się istota powołania kapłańskiego, które nierozerwalnie wiąże się z krzyżem, tajemnicą, ofiarą i walką. „Alter Christus" (drugi Chrystus) to tradycyjne określenie roli kapłana w Kościele katolickim. Tego problemu dotknął niedawno ks. Jerzy Szymik, teolog, duszpasterz i poeta, kiedy opublikował w tygodniku „Gość Niedzielny" z 25 października br. felieton pt. „List do młodego księdza".

„Piszę do Ciebie jak do młodszego brata: ze świadomością przewagi (doświadczenia) i braku (ten czas jest znacznie bardziej Twój niż mój, obracasz się w nim z naturalną swobodą – ja nie). Bez pozy zgreda, co ci mogę dać, jeśli nie braterstwo i odrobinę branżowego doświadczenia? Zależy mi na Tobie, na tym, by Ci się życie powiodło. Obchodzisz mnie" – zaczął swój list ks. Szymik. „Najważniejsze: jestem dumny z Ciebie, z tego, co zrobiłeś i robisz ze swoim życiem, rozdając je Bogu i ludziom, bez tego zachłannego strzeżenia go dla siebie, tak charakterystycznego dla współczesności. Wiem, że nieraz słyszysz wyp..., w różnych formach, pod Twoim i Twego powołania adresem. Lecz jest znacznie więcej takich, którym patrząc na Ciebie, chce się żyć i wierzyć. Wiedz o tym. Po to piszę" – zapewnił.

Kapłan podzielił się kilkoma radami. Pierwsza z nich dotyczyła przygotowywania niedzielnych homilii, które powinny w jego opinii być owocem własnych przeżyć, przemyśleń i modlitewnych refleksji wygłaszających je księży. „Pracuj cały tydzień nad niedzielnym kazaniem. Nie korzystaj z internetowych gotowców. Być głosem dla Słowa to szczyt tego, co robisz. Jąkaj się, ale niech to jest z Twoich bebechów, trzewi, z Twojej wiary i krwi. Tylko tak się dojrzewa jako ksiądz i mężczyzna. Nie próbuj w drobnych odzyskać tego, co dałeś Bogu w grubej walucie" – zaapelował ks. Szymik.

„To metafora, ale jeśli jesteśmy przy pieniądzach: nie poświęcaj zbyt dużo uwagi kasie. Uczył BXVI, «że gdy posługuję się pieniądzem, jestem zawsze na niebezpiecznym terenie, na którym władza bożka skacze na mnie jak dzikie zwierzę, stara się mnie złapać w swoje szpony i wciągnąć w służbę dla siebie, tak bym był jej poddany i uznał tego bożka za właściwego boga mego życia» – dodał.

Kapłan zaapelował do młodszych współbraci, aby strzegli się cynizmu, nazywając go bronią tchórzów. „Nie zarażaj frustracją i goryczą ani owiec, ani towarzyszy broni. Cierpienie jest dla Ciebie, miłość dla owiec – cokolwiek na ten temat myśli współczesna kultura terapeutyczna. Taka jest prawda pasterza. Że tak się nie da żyć? Jezus tak żył" – przypomniał.

Kultura terapeutyczna

Te właśnie słowa wywołały największą medialną burzę, także wśród księży. Niektórzy uznali je za przejaw staroświeckiej mentalności, inni za bezduszność. Na szczęście było także wielu kapłanów, którzy przyjęli je pozytywnie jako ważny głos przypominający im o istocie ich powołania.

Nie dostrzegam sprzeczności pomiędzy treścią listu ks. Szymika a prawem księży do przeżywania kryzysów emocjonalnych czy do korzystania z terapii. W mojej opinii kapłan zwrócił po prostu uwagę na istotną różnicę pomiędzy traktowaniem narzędzi psychologicznych jako środka do celu, czyli do lepszego funkcjonowania, rozwoju, zdrowia czy przezwyciężenia kryzysu, a „kulturą terapeutyczną", która mami człowieka utopijnymi wizjami osiągnięcia stanu nirwany i przezwyciężenia cierpienia bądź posiadania niemal boskiego poziomu kontroli nad sobą i nad otaczającą nas rzeczywistością. Zwrócenie uwagi na ten problem wydaje mi się słuszne, ponieważ bez przyjęcia tajemnicy krzyża, czyli prawdy o tym, że każde ludzkie życie niesie ze sobą pewną dozę cierpienia, a także prawdy o ludzkiej niedoskonałości, która nie przeszkadza działać Bogu poprzez człowieka, wielu młodych księży (i chrześcijan w ogóle) może zostać uwięzionych w pułapce lęku, bierności, osamotnienia i wiecznego poczucia własnej słabości. Ksiądz Szymik przypomina to, o czym pisał św. Paweł: „Moc w słabości się doskonali". Ludzka słabość nie stanowi przeszkody dla działania łaski Bożej. Przeszkodę może stanowić ludzkie poczucie nieomylności, samowystarczalności oraz iluzja kontroli. „Sprzeczności i komplikacji życia nie rozwiąże żadna terapia, żadna nauka, żaden work-life balance. Jedynie łaska. I współpraca z nią, w wolności. Więź z Chrystusem. Crux, Virgo, Hostia – filary kapłaństwa. Bez tego życie roztrzaska się na kawałki. A odłamki zranią wielu, niektórych śmiertelnie" – pisze ks. Szymik. Kapłan przypomina w swoim tekście prawdę o ludzkiej kondycji pięknie ujętą w poezji Mikołaja Sępa Szarzyńskiego: „Pokój – szczęśliwość, ale bojowanie – byt nasz podniebny".

> ***Nie zarażaj frustracją i goryczą ani owiec, ani towarzyszy broni. Cierpienie jest dla Ciebie, miłość dla owiec.***
>
> ks. JERZY SZYMIK

Co z tą mamoną?

„Nasz los to walka Jakuba z Bogiem. Zwichnięte biodro? Warto dla błogosławieństwa: nie puszczę Cię, dopóki mi nie pobłogosławisz" – pisze w swoim liście ks. Szymik. Za

eprasa.pl 08cfe9cbca

wyrażoną dość... ekspresyjnie desperacką prośbę o błogosławieństwo można uznać inny głośny w ostatnich tygodniach tekst kapłana – pełną emocji wypowiedź ks. Rafała Główczyńskiego, znanego jako „Ksiądz z osiedla". Pod wpływem decyzji przełożonych, które uznał za niesprawiedliwe i zniesławiające go w oczach wiernych, kapłan opublikował wpis, który – podobnie jak wcześniejszy list ks. Szymika – również odbił się szerokim echem w „katosferze", mocno ją polaryzując.

„WKUR*IŁEM SIĘ!!! Przepraszam za słownictwo ale jak czytam OŚWIADCZENIE moich przełożonych, to inaczej nie potrafię. Od 3 miesięcy w KAŻDY WOLNY DZIEŃ ZAPIERDA*AM DO PRACY I ŻEBRZĘ, ŻEBY COŚ DLA MŁODZIEŻY ZROBIĆ. WSZYSCY O TYM MOWILI, MNÓSTWO LUDZIE MNIE WSPIERAŁO, ONI W NICZYM NIE POMOGLI, a jak teraz jak wszyscy dookoła zaczęli pytać dlaczego mnie przenoszą, to TERAZ napisali, że NIE WIEDZIELI I NIE MIAŁEM POZWOLENIA???? ŻE TO JA PROSIŁEM O PRZENOSINY OD 1 listopada??? BZDURY!!!" [pisownia oryginalna] – napisał duchowny.

Można tę wypowiedź traktować jako skutek przesunięcia akcentów z kontemplacji w stronę aktywizmu, można też zobaczyć w niej rozgoryczenie wywołane brakiem zrozumienia przełożonych dla wysiłku wkładanego w służbę drugiemu człowiekowi. „Ksiądz z osiedla" rozkręcił wiele dzieł charytatywno-ewangelizacyjnych odbieranych zazwyczaj pozytywnie, toteż reakcja jego przełożonych mogła zostać odebrana jako chęć podcięcia skrzydeł kapłanowi, który za mocno „wychylił się z szeregu".

Z drugiej jednak strony część działań podejmowanych przez młodego kapłana rzeczywiście mogła budzić pytania o to, czy to jeszcze ewangelizacja, czy już celebrytwo. O ile do założonej przez niego kawiarni „Cyrk motyli", w której każdy płaci „co łaska", nie było chyba większych zastrzeżeń, o tyle już wzięcie przez niego udziału w reality „The Traitors. Zdrajcy" czy pozyskiwanie pieniędzy na działalność charytatywną poprzez założenie konta ewangelizacyjnego na platformie OnlyFans (kojarzonej powszechnie z pornografią, choć konta posiadają tam także muzycy, właściciele prywatnych biznesów czy influencerzy), mogą rodzić wątpliwości. Można w tych działaniach widzieć chęć zdobywania popularności czy poszukiwania własnej chwały, można też zobaczyć w nich wcielanie w życie słów Jezusa, który mówił: „Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną".

Chrystus nie odwodził także swoich uczniów od płacenia podatków, nie namawiał ich do anarchii ani pięknoduchostwa i ignorowania ziemskiej rzeczywistości. Apelował jednak o właściwą hierarchię, oddawanie Bogu tego, co boskie, a cesarzowi – co cesarskie. Skoro już o podatkach mowa, warto przy okazji dyskusji o przedstawianym jako „bezproblemowe" i oderwane od rzeczywistości życiu księży zaznaczyć, że oni także zmagają się z kwestiami bardzo przyziemnymi i niełatwymi – jak choćby remonty zabytkowych kościołów czy rozwiązywanie problemów dotyczących finansowania placówek pomocowych dla osób bezdomnych, uzależnionych, starszych czy ubogich. Księża – wbrew obiegowej opinii – płacą także podatki. Głównym sposobem rozliczania przychodów z posługi duszpasterskiej (np. z intencji mszalnych, chrztów, ślubów czy kolędy) jest ryczałt od przychodów osób duchownych. Stawka nie zależy od faktycznie zebranych pieniędzy, lecz od liczby mieszkańców parafii oraz sprawowanej tam przez danego księdza funkcji. Bywają parafie „mlekiem i miodem płynące", ale bywają także takie, w których strach głośniej kichnąć, żeby nie zawalił się strop danego kościoła. W tym kontekście okresowe przenoszenie księży z parafii do parafii może czasem pozwolić im doświadczyć różnych warunków bytowania i do żadnych zbytnio się nie przyzwyczajać.

> Część działań podejmowanych przez młodego kapłana mogła budzić pytania o to, czy to jeszcze ewangelizacja, czy już celebrytwo.

Bądź wierny

Czy takie motywacje stały za decyzją o przeniesieniu księdza z osiedla podwarszawskiego Piastowa do Trzebnicy? Tego nie wiemy. „Po owocach ich poznacie" – mówi Pismo Święte. Niezależnie od tego, czy przełożeni ks. Główczyńskiego chcą swoją decyzją ochronić go przed popadnięciem w „celebrytwo", czy też przyświecają im zazdrość, chęć kontroli bądź inne ziemskie motywacje, to jeśli „Ksiądz z osiedla" działa z dobrych pobudek, ta próba wyjdzie mu w taki czy inny sposób na dobre. „Wszystko współdziała dla dobra tych, którzy miłują Boga" – pisze św. Paweł w Liście do Rzymian. I dlatego tak ważna jest odpowiednia formacja duchowa i wewnętrzna hierarchia wartości, osiągnięcie takiej wolności wewnętrznej i przywiązania do woli Bożej, aby – znów cytując św. Pawła, tym razem jego słowa z Listu do Filipian – móc powiedzieć: „Umiem cierpieć biedę, umiem też korzystać z obfitości. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, korzystać z obfitości i doznawać niedostatku. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia". O tym właśnie przypomniał w swoim niedawnym felietonie ks. Jerzy Szymik. „To wszystko, co było dla mnie zyskiem, ze względu na Chrystusa uznałem za stratę. Bez tej mistyczności, bez tej iskry szaleństwa, bez zgody na nie – to (czyli życie jako ksiądz do śmierci) się nie uda. Bóg sam wystarczy. Posłuchaj Herberta: «Bądź wierny, idź»" – zakończył starszy kapłan swój list do młodego księdza.

eprasa.pl 08cfe9cbca

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Kierwiński junior antyfaszystą?

Marcin Kierwiński, szef MSWiA, komunistą? Tak jak jego ojciec – płk Andrzej Kierwiński, w PRL zaufany funkcjonariusz Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju – komórki odpowiedzialnej za tajne schrony dla czerwonych notabli na wypadek wojny nuklearnej lub chuligańskich, czyli niepodległościowych, wystąpień Polaków, a także za kontrolę nad sowieckimi silosami atomowymi?

W październiku br. Kierwiński junior stwierdził, że młodzi ludzie atakują z nożami w szkołach, bo fascynują się „ideologią faszystowską". 7 listopada 2026 r., tuż po zamachu w Krakowie, ten sam Kierwiński poinformował, że 24-letni sprawca „mógł być zafascynowany skrajnie prawicowymi ideologiami". Najważniejsze eurolewackie media w mig podłapały, że polska faszystowska prawica morduje.

Czy Kierwiński jest oryginalny? Nic z tych rzeczy. Np. w 1996 r. Jacek Kuroń i Wojciech Jaruzelski w Teatrze Żydowskim w Warszawie zachwycali się bojownikami XIII Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego, że jako pierwsi na świecie wystąpili „przeciwko faszyzmowi". Podlegli Moskwie „Dąbrowszczacy" do dziś mają ulicę na warszawskim Targówku, a od wojny z faszystowską Hiszpanią gen. Francisco Franco (1936–1939) swoich wrogów komuniści zaczęli nazywać faszystami. Dziś robią to ich resortowe dzieci.

Już przedwojenna Polska miała być faszystowska. Julian Brun, który ulicę w Warszawie stracił, bo był bardziej sowieckim niż polskim dziennikarzem, w 1934 r. pisał: „Polska faszystowska jest najistotniejszym ogniwem frontu antyradzieckiego. Polityka zagraniczna Polski faszystowskiej od początku jej istnienia ma jeden cel: wojnę przeciw ZSRR". O „bezwzględnej faszystowskiej dyktaturze sanacji" mówił ekonomista Włodzimierz Brus, mąż zbrodniarki Heleny Wolińskiej. Jej stalinowska koleżanka Alicja Graff dodawała, że „sanacyjny rząd faszystowski dławił rewolucyjny ruch mas pracujących miast i wsi oraz wynaradawiał ludność ukraińską i białoruską".

Rządzący nielegalnie Polską po 1944 r. tubylczy bolszewicy pojęcie faszyzmu wprowadzili też do swojego prawa, czyli zbrodniczego bezprawia. I tak z dekretu tzw. PKWN z 31 sierpnia 1944 r. „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy" Maria Gurowska skazała polskiego generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila" na karę śmierci: „Udowodnione materiałami sprawy morderstwa około 1000 antyfaszystów tylko w części obrazują faktyczne zbrodnie, które obciążają skazanego".

Bo skoro są „faszyści", muszą być też „antyfaszyści". Tak miało być w Polsce sanacyjnej, tak ma być i teraz. Zdaniem „antyfaszysty" Guya Verhofstadta ulicami Warszawy przeszło kiedyś w Marszu Niepodległości 60 tys. „faszystów" (dziś jest ich już kilkaset tysięcy). Musieli z nimi walczyć „antyfaszyści" z KOD, Obywateli RP czy Antify (w 2021 r. hasłem Niemców było: „Alles nach Warchau" – „Wszyscy na Warszawę").

Wyimaginowany faszyzm wciąż jest batem na Polskę. Batożą Polaków zarówno zagraniczne, jak i tubylcze „autorytety" (te, które nie powiedzą o Polsce „Ojczyzna", tylko „ten kraj"), takie jak Marcin Kierwiński, syn „antyfaszysty". S

eprasa.pl 08cfe9cbca

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

ZWIĄZKOWCY NIE CHCĄ TRYBUNAŁU STANU dla prezesa NBP



Fot. Narodowy Bank Polski

Prawdopodobnie na posiedzeniu Sejmu 17–19 listopada posłowie zajmą się wnioskiem o postawienie prezesa NBP przed Trybunałem Stanu. Przeciwni takiemu scenariuszowi są związkowcy z banku centralnego.

„Popieramy stanowisko Prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego podkreślające konieczność ochrony niezależności banku centralnego i niedopuszczalność wywierania presji politycznej na jego działalność. Silna i stabilna pozycja banku centralnego, zdaniem organizacji związkowych działających w Narodowym Banku Polskim, jest jednym z warunków pozytywnego postrzegania Polski na arenie międzynarodowej” – napisały cztery organizacje związkowe, w tym Solidarność, działające w Narodowym Banku Polskim.

Działacze zaapelowali o „zaniechanie” podejmowania działań zmierzających do postawienia prezesa Glapińskiego przed Trybunałem Stanu.

Zaznaczyli, że NBP to instytucja zaufania publicznego, której niezależność „stanowi niezbędny warunek prawidłowego wykonywania ustawowych zadań i zapewniania stabilności polskiej gospodarki i bezpieczeństwa finansowego obywateli”. Przypomnieli również, że poszanowanie niezależności banku centralnego oraz ochrona jego wiarygodności i autorytetu „stanowią konstytucyjny fundament stabilności finansowej państwa”.

Ich zdaniem podejmowane działania mogą prowadzić w konsekwencji do „negatywnego postrzegania banku centralnego, jego autorytetu i wiarygodności oraz wpływać na warunki pracy jego pracowników”, a publiczne komentarze dotyczące NBP „negatywnie oddziałują na postrzeganie kompetencji pracowników i ich dorobku zawodowego, przesłaniając rangę realizowanych przez nich, z zaangażowaniem i profesjonalizmem zadań”.

„NBP i jego pracownicy zasługują na szacunek i rzetelną ocenę” – podkreślili związkowcy.

W październiku sejmowa Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej zawarła w sprawozdaniu z prac osiem zarzutów wobec prezesa NBP i wniosła o pociągnięcie Adama Glapińskiego do odpowiedzialności konstytucyjnej.

eprasa.pl 08cfe9cbca


Fot. M. Zegliński

„Polska to jest przepiękny, demokratyczny, wspaniały kraj. Polskość to normalność: piękno, patriotyzm, wolność i szacunek dla drugiego człowieka”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceprzewodniczący KK NSZZ „S”, Facebook.com, 11 listopada br.

SOLIDARNOŚĆ W IPN MA 10 LAT

Prowadzenie śledztw w sprawach zbrodni nazistowskich i komunistycznych, zarządzanie archiwalnymi dokumentami, poszukiwanie miejsc spoczynku osób poległych w walkach o niepodległość oraz w walce z totalitarnym systemem, kierowanie badaniami naukowymi, edukowanie i upamiętnianie historycznych wydarzeń – to główne zadania pełnione przez Instytut Pamięci Narodowej.

W tej instytucji już od dekady działa Solidarność. Członkowie Związku świętowali jubileusz w listopadzie na Zakładowym Zebraniu Delegatów w warszawskim Domu Pielgrzyma „Amicus”, podczas którego otrzymali pamiątkowe znaczki wpinane do marynarki.

– Niezależnie od kontekstu, mimo tak młodego wieku, nasza organizacja przeszła praktycznie każdy aspekt działalności związkowej: walkę o ZFŚS, regulaminy nagród, wejście w spór zbiorowy, a nawet zarząd komisaryczny. Doświadczenie to doprowadziło do tego, że staliśmy się ekspertami związkowymi i bardzo szybko mogliśmy stać się częścią tego etosu – stwierdził przewodniczący Solidarności w IPN-ie Ireneusz Smółka.

Tego dnia związkowcy wysłuchali też wspomnień działacza opozycji antykomunistycznej Arkadiusza Małyszki, wzięli udział we Mszy Świętej, złożyli kwiaty na grobie bł. ks. Popiełuszki i zwiedzili muzeum poświęcone Patronowi Solidarności. W spotkaniu uczestniczył Bartłomiej Mickiewicz, który zwrócił uwagę, że w IPN działa tylko jedna organizacja związkowa i jest nią Solidarność, co nie powinno nikogo dziwić.

– To właśnie Solidarność wywalczyła wolność i doprowadziła do powstania IPN. Upraszczając – osoby, które walczyły w latach 80., a pracują obecnie w IPN-ie, tak naprawdę same sobie stworzyły pracodawcę – zaznaczył wiceszef Solidarności.

KOLEJARZE NA JASNEJ GÓRZE

W 100-lecie Polskich Kolei Państwowych na Jasną Górę przybyła 43. Ogólnopolska Pielgrzymka Kolejarzy zorganizowana przez Katolickie Stowarzyszenie Kolejarzy Polskich. W tym roku środowisko kolejarskie pielgrzymowało do Częstochowy pod hasłem „Jesteśmy uczniami Chrystusa”. Niektórzy dotarli na Jasną Górę sami, inni skorzystali ze specjalnych pociągów pielgrzymkowych. Centralnym punktem spotkania była Msza Święta pod przewodnictwem biskupa seniora diecezji gliwickiej Jana Kopca, którą duchowny odprawił 8 listopada na Szczycie Jasnogórskim wraz z kapelanami kolejarzy, w tym ks. prałatem Eugeniuszem Zarębińskim – krajowym duszpasterzem kolejarzy. W pielgrzymce wzięli udział kolejarze z całej Polski, w tym związkowcy z Solidarności, a także przedstawiciele zarządów spółek PKP, SKM Trójmiasto, WARS czy Kolei Śląskich.

Z okazji 100-lecia Polskich Kolei Państwowych przedstawiciele władz PKP oraz Fundacji Grupy PKP złożyli na Jasnej Górze wotum w postaci figury św. Katarzyny Aleksandryjskiej, patronki kolejarzy.

ZWOLNIENIA W KRAŚNIKU

Zakład TN Polska w Kraśniku zostanie zlikwidowany. Firma produkująca elementy toczne do łożysk – m.in. kulki stalowe, wolframowe i ceramiczne – ma zakończyć działalność we wrześniu 2027 roku. Informację o zwolnieniach grupowych Zarząd Spółki przekazał 5 listopada Powiatowemu Urzędowi Pracy i związkowcom z Solidarności. Decyzja firmy Tsubaki Nakashima oznacza, że pracę może stracić 255 pracowników.

Koncern planuje przenieść produkcję do swoich innych zakładów – jak przekazała Solidarność – prawdopodobnie do Indii.

M.K.

Kalendarium Solidarności

18.11.1986 – NSZZ „Solidarność” zostaje członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowej Konfederacji Pracy.

17.11.2003 – podczas 24-godzinnego strajku ostrzegawczego w kopalniach wzięło udział 35 tys. osób;

eprasa.pl 08cfe9cbca

Nie wiemy, co przyniesie jutro

– Nie chciałbym żyć w państwie, w którym pracownicy konstytucyjnego organu albo wykonują swoje obowiązki pod presją, albo w ogóle nie mogą pracować. Sytuacja w Trybunale Konstytucyjnym jest niezwykle napięta. Ludzie nie wiedzą, co robić, czyje polecenia wykonywać i czego mogą się spodziewać – mówi **Kamil Niedbała**, przewodniczący NSZZ „Solidarność” w Trybunale Konstytucyjnym, w rozmowie z **Barbarą Michałowską**.



Fot. arch. „Tygodnik Solidarność”

– Wokół Trybunału Konstytucyjnego trwa poważny spór dotyczący jego funkcjonowania i obsady sędziowskiej. W debacie publicznej dominuje polityka, ale w tym wszystkim są przecież także pracownicy tej instytucji. W jakiej sytuacji się znaleźliście?

– Przede wszystkim chciałbym, żebyśmy spojrzeli na tę sytuację właśnie z perspektywy zwykłych pracowników. Nie zamierzam rozstrzygać sporów politycznych ani oceniać relacji między władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Chcę opowiedzieć o tym, co spotkało nas, ludzi zatrudnionych w Trybunale Konstytucyjnym.

Najlepiej zacząć od mojego osobistego doświadczenia. Bezpośrednio po powrocie z podróży służbowej do Serbii udałem się do siedziby Trybunału, żeby odebrać prywatne rzeczy pozostawione w gabinecie oraz dokumenty potrzebne do dokończenia czynności zleconych mi przez prezesa Bogdana Święczkowskiego. W drodze otrzymałem jednak informację, że na terenie Trybunału znajduje się policja, a wejścia do budynku zostały zamknięte. Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że nie mogę wejść do własnego miejsca pracy. Nikt nie wyjaśnił mi, na jakiej podstawie odmówiono mi wstępu. Był tam również wiceprezes Trybunału Bartłomiej Sochański, który także próbował dostać się do środka. Później przyjechał prezes Święczkowski.

Proszę sobie wyobrazić tę sytuację. Jestem pracownikiem instytucji państwowej, mam do wykonania określone obowiązki, chcę zabrać swoje rzeczy, a nagle nie mogę wejść do budynku. Nie otrzymuję żadnego wyjaśnienia.

– Czy obecnie pracownicy mogą normalnie wykonywać swoje obowiązki?

eprasa.pl 08cfe9cbca

– Nie. Prezes Trybunału Konstytucyjnego wydał zarządzenie zwalniające pracowników z obowiązku świadczenia pracy do 13 listopada. Jednocześnie pojawiła się sytuacja, w której część pracowników otrzymuje telefony od innych zatrudnionych w Trybunale z informacją, że mają stawić się w budynku.

I tutaj zaczynają się bardzo poważne problemy. Kto podejmuje takie decyzje? Na jakiej podstawie jedni pracownicy są wzywani do pracy, a inni nie? Według jakich kryteriów dokonuje się wyboru tych osób? Nie znam odpowiedzi na te pytania.

Osobiście nie otrzymałem takiego telefonu. Co więcej, nie tylko uniemożliwiono mi wejście do siedziby Trybunału, lecz także straciłem dostęp do służbowej poczty elektronicznej. Nie mogę więc wykonywać swoich obowiązków przy użyciu oficjalnych kanałów komunikacji.

Zdarza się, że dzwonią do mnie przedstawiciele innych instytucji i pytają, w jaki sposób mogą skutecznie doręczyć pismo prezesowi Trybunału. A ja, jako pracownik tej instytucji, nie potrafię udzielić im odpowiedzi. To sytuacja, której nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

– Czyli problemem jest nie tylko brak możliwości wykonywania pracy, ale również niepewność co do tego, czyje polecenia należy realizować?

– Dokładnie. Dla pracownika instytucji państwowej niezwykle istotne jest to, żeby wiedział, komu podlega i czyje polecenia są wiążące.

Ja osobiście uznaję Bogdana Święczkowskiego za legalnego prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Nie przedstawiono mi żadnej podstawy prawnej, która pozwalałaby przyjąć, że przestał pełnić tę funkcję. Dlatego nie widzę możliwości, żebym samowolnie przestał wykonywać jego polecenia.

Tymczasem mamy do czynienia z sytuacją, w której inne osoby podejmują działania organizacyjne i wydają dyspozycje pracownikom. Pojawiają się więc pytania o podstawę prawną tych działań i o odpowiedzialność osób, które wykonują otrzymane polecenia.

Chcę bardzo wyraźnie podkreślić, że pracownicy Trybunału nie są od rozstrzygania sporów dotyczących tego, kto powinien zasiadać w Trybunale Konstytucyjnym. Nie mają takich kompetencji. Ich zadaniem jest wykonywanie obowiązków służbowych zgodnie z prawem. Nie można stawiać ich w sytuacji, w której muszą samodzielnie rozstrzygać spór o charakterze ustrojowym.

– Mówi Pan o ogromnej niepewności. Jak ta sytuacja wpływa na psychikę pracowników? Czy pojawia się strach?

– Oczywiście, że tak. Z moich rozmów z pracownikami wynika, że sytuacja jest bardzo trudna. Dotyczy to zarówno osób przebywających obecnie w siedzibie Trybunału, jak i tych, które nie mogą wykonywać swoich obowiązków.

Pracownicy Trybunału nie są od rozstrzygania sporów dotyczących tego, kto powinien zasiadać w Trybunale Konstytucyjnym. Nie mają takich kompetencji. Ich zadaniem jest **wykonywanie obowiązków** służbowych zgodnie z prawem.

Mamy do czynienia z ogromnym napięciem psychicznym. Ludzie są zdenerwowani, zmęczeni całą sytuacją, nie wiedzą, co przyniosą kolejne dni. Proszę pamiętać, że za każdym pracownikiem stoi konkretna historia. Są ludzie, którzy mają rodziny, dzieci, zobowiązania finansowe. Niektórzy są jedynymi żywicielami swoich rodzin. Dla nich utrata pracy czy nawet perspektywa problemów zawodowych może oznaczać dramat osobisty.

Dlatego nie chciałbym nikogo pochopnie oceniać. Jeśli ktoś podejmuje określone decyzje ze strachu o utrzymanie rodziny, trzeba spróbować zrozumieć jego położenie.

Docierają do mnie pewne sygnały, które budzą obawę, że niektórzy pracownicy mogą odczuwać presję, a nawet zastraszenie. Chcę jednak zaznaczyć, że nie dysponuję informacjami pozwalającymi mi jednoznacznie potwierdzić takie przypadki. Są to moje obawy wynikające z rozmów i sygnałów, które do mnie docierają.

Najważniejsze jest to, żeby żaden pracownik nie czuł się przymuszany do określonych zachowań i nie musiał podejmować decyzji zawodowych pod wpływem strachu.

– Czyli można powiedzieć, że wśród pracowników doszło do podziału? Jedni pojawiają się w budynku Trybunału, a inni pozostają poza nim.

– Nie chciałbym patrzeć na to w kategoriach dwóch przeciwstawnych obozów. Nie możemy automatycznie oceniać człowieka tylko dlatego, że znalazł się po jednej lub drugiej stronie tego sporu albo zdecydował się przyjść do pracy. Przede wszystkim nie chciałbym, żeby pracownicy stali się ofiarami konfliktu, na którego przebieg nie mają realnego wpływu.

Dzisiaj sytuacja jest tak skomplikowana, że wielu ludzi zwyczajnie nie wie, jak ma się zachować. Nawet jeżeli mają własną ocenę tego, czyje

eprasa.pl 08cfe9cbca

polecenia powinni wykonywać, obawa o przyszłość może wpływać na podejmowane przez nich decyzje.

– Właśnie w tych okolicznościach zdecydowaliście się powołać w Trybunale Konstytucyjnym organizację zakładową NSZZ „Solidarność". Skąd taka decyzja?

– To bezpośrednia odpowiedź na sytuację, w której się znaleźliśmy. Uznaliśmy, że potrzebujemy organizacji, która będzie nas jednoczyć i pozwoli nam wspólnie występować w sprawach pracowniczych.

Solidarność nie jest tutaj przypadkowym słowem. Dzisiaj naprawdę potrzebujemy wzajemnego wsparcia i poczucia, że nikt nie zostaje sam ze swoimi problemami. Sytuacja, której doświadczamy, jest dla nas czymś całkowicie nowym. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z podobnym położeniem pracowników instytucji konstytucyjnej.

Zainteresowanie przystąpieniem do Związku rośnie z dnia na dzień. Każdego dnia pojawiają się kolejne deklaracje członkowskie.

Niestety, są też osoby, które wcześniej deklarowały chęć wstąpienia, ale obecnie się wahają. Nie znam wszystkich powodów ich decyzji. Obawiam się jednak, że przynajmniej w niektórych przypadkach może mieć to związek z atmosferą niepewności i presji.

– Czy obawy pracowników mogą wynikać również z wcześniejszych działań prokuratury wobec osób zatrudnionych w Trybunale?

– Uważam, że nie można oddzielać sytuacji po 30 października od wydarzeń, które rozegrały się wcześniej.

Jeszcze przed obecnym kryzysem część pracowników Trybunału była wzywana do prokuratury w charakterze świadków w postępowaniu dotyczącym zarzutów związanych z działalnością zorganizowanej grupy przestępczej. Z kolei dyrektor kancelarii Trybunału oraz komendant Straży Trybunalskiej zostali, w ramach działań prokuratury, zawieszeni w wykonywaniu obowiązków służbowych.

Nie chcę tutaj przesądzać o podstawach prawnych tych decyzji. Stawiam jednak pytanie, czy pracownicy instytucji powinni ponosić konsekwencje za wykonywanie poleceń przełożonych. Czy komendant Straży Trybunalskiej ma kompetencje do rozstrzygania, kto jest sędzią Trybunału Konstytucyjnego? Czy takie kompetencje ma dyrektor kancelarii? Czy ja jako pracownik mam podejmować tego rodzaju decyzje? Oczywiście, że nie.

> Uznaliśmy, że potrzebujemy organizacji, **która będzie nas jednoczyć** i pozwoli nam wspólnie występować w sprawach pracowniczych. Solidarność nie jest tutaj przypadkowym słowem.

Pracownicy wykonują zadania wynikające z ich obowiązków oraz otrzymanych poleceń. Nie można wymagać od nich, żeby samodzielnie rozstrzygali fundamentalne spory prawne dotyczące funkcjonowania państwa.

To wszystko ma znaczenie dla atmosfery wśród pracowników. Jeżeli ludzie widzą, że osoby pełniące określone funkcje zostają objęte działaniami prokuratury, pojawia się pytanie, czy podobne konsekwencje mogą spotkać także innych.

– A co jeśli spór o Trybunał będzie trwał nie dni czy tygodnie, ale miesiące? Czy wyobraża Pan sobie funkcjonowanie pracowników w takich warunkach?

– Trudno mi sobie to wyobrazić. Już teraz sytuacja jest niezwykle obciążająca psychicznie.

Pracownik musi wiedzieć, jakie ma obowiązki, kto jest jego przełożonym, gdzie ma wykonywać pracę i na jakich zasadach. Musi mieć również pewność, że działając zgodnie z prawem i otrzymanymi poleceniami, nie narazi się na nieuzasadnione konsekwencje. Dzisiaj tych podstawowych elementów poczucia bezpieczeństwa brakuje.

Dla mnie nie do zaakceptowania jest również sytuacja, w której dostęp do siedziby Trybunału Konstytucyjnego odbywa się poprzez Kancelarię Premiera RP, a pracownicy są weryfikowani przez SOP. W mojej ocenie rodzi to bardzo poważne pytanie o respektowanie konstytucyjnej zasady trójpodziału władzy.

– Czego najbardziej obawia się Pan dzisiaj jako pracownik i przewodniczący NSZZ „Solidarność" w TK?

– Przede wszystkim tego, że pracownicy zostaną pozostawieni sami sobie i że konflikt instytucjonalny będzie odbywał się ich kosztem. Obawiam się sytuacji, w której ludzie będą podejmować decyzje nie dlatego, że uważają je za słuszne czy zgodne z prawem, lecz dlatego, że boją się utraty pracy, konsekwencji służbowych albo problemów finansowych. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby ludzie nie byli zastraszani, nie odczuwali przymusu i nie musieli wybierać między własnym bezpieczeństwem ekonomicznym a przekonaniem, że postępują zgodnie z prawem.

Kamil Niedbała – szef Gabinetu Prezesa Trybunału Konstytucyjnego, przewodniczący zakładowej Solidarności w Trybunale Konstytucyjnym.

eprasa.pl 08cfe9cbca

KARUZELA BLOGERAMI

@FIAT MONEY

CIĘCIA BUDŻETOWE NA HORYZONCIE. CZY WRÓCI MASOWE BEZROBOCIE?

Młodzi nie pamiętają, ale pokolenie ich rodziców, 40–50-latków, zostało naznaczone doświadczeniami z początku lat 2000.: 20% bezrobocia, 100 chętnych na jedno miejsce pracy, śmieciówki, na których zarabiało się dosłownie 2 zł za godzinę, brak perspektyw, emigracja do USA albo do UE zaraz po otwarciu jej rynku pracy na Polaków.

Dlaczego tak było? A bo Balcerowicz dostał od wyborców drugą szansę na gmeranie przy polskiej gospodarce, tym razem już kapitalistycznej. No i umyślił sobie, że trzeba schłodzić gospodarkę i zmniejszyć dług i deficyt.

Wierni czytelnicy moich felietonów łatwo przewidzą, co się wtedy dzieje: deficyt państwa spada, ale na krótki okres, bo zaraz ludzie, mając mniejszy dochód, ograniczają zakupy, pozbawiają firmy przychodów, na co firmy reagują zwolnieniami. Oczywiście wpływy podatkowe z kulejącej gospodarki zaczynają spadać, co powoduje... zwiększenie deficytu do poziomów wyższych niż przed rozpoczęciem operacji, ku szczeremu zdumieniu neoliberalnych „ekspertów".

Dlaczego o tym przypominam? Bo mainstreamowi ekonomiści przebierają nóżkami, by powtórzyć tę operację na Polakach. Dlaczego? A bo dług Polski przekroczył limit 60% PKB. My wiemy, że ten „dług" to po prostu oszczędności Polaków, to państwowe zobowiązania wobec obywateli: obligacje i PLN, które zostały wydane przez państwo do gospodarki, a nie zostały obywatelom zabrane podatkami.

Dlaczego Polska ma zatem ten limit i skąd on się wziął? Ano wziął się... z czapy, bo – jak jest udokumentowane – wymyślono go w UE bez żadnej analizy ekonomicznej, a wybrano 60%, bo to wówczas było średnie zadłużenie krajów podpisujących traktat z Maastricht. Wpisanie średniej jako pułapu nie ma oczywiście żadnego sensu. Limitowanie oszczędności obywateli też nie ma sensu. Do limitu 60% długu dopisano limit 3% rocznego deficytu. Liczba 3% została wymyślona przez nieekonomistów, „bo brzmiała sensownie i wzniośle jak Trójca". Nie żartuję. Polska jako kraj wówczas peryferyjny i zakompleksiony, aspirujący do oświeconej Europy... wpisała sobie ten limit do konstytucji. Jest to tak samo mądre, jakby wpisać do konstytucji limit naboi, jakie możemy zużyć, broniąc się przed Rosją.

Dlaczego akurat teraz ten limit przekraczamy, po dekadach, gdy dług oscylował w obszarze 45–60%? Ano dlatego, że po pandemii NBP podniósł stopy procentowe, co zwiększyło rentowność, czyli koszt polskich obligacji z 1 na 6%. To odwróciło wieloletni trend spadku kosztu obsługi polskiego zadłużenia w stosunku do PKB.

> DŁUG POLSKI PRZEKROCZYŁ LIMIT 60% PKB. MY WIEMY, ŻE TEN „DŁUG" TO PO PROSTU OSZCZĘDNOŚCI POLAKÓW, TO PAŃSTWOWE ZOBOWIĄZANIA WOBEC OBYWATELI.

Jak na tę sytuację reagują mainstreamowi ekonomiści i „eksperci" z think tanków, często opłacani przez konfederacje pracodawców i najbogatszych Polaków? Zgadliście: mamy nie myśleć o zmniejszeniu odsetek, mamy nie myśleć o podwyżkach podatków dla najbogatszych i dla firm, choć to najmniej szkodliwe dla PKB sposoby obniżenia deficytu państwa. Otóż oczywiście mamy się skupić na upodleniu najbiedniejszych, czyli na rozmontowaniu państwa socjalnego.

Przygotujcie się więc na walkę, bo stawką jest uniknięcie powtórki z wczesnych lat 2000. S

eprasa.pl 08cfe9cbca

„Głos wolnej Polski”. Nowa wystawa w Sali BHP!

„Głos wolnej Polski. I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ «Solidarność» w 1981 r. w obiektywie Pawła Glanerta” – to tytuł wystawy, która została otwarta 9 listopada w historycznej Sali BHP w Gdańsku, w przypadającą w tym roku **45. rocznicę tego wydarzenia**.

Agnieszka Żurek





Fot. M. Żegliński (2)

Ekspozycja składa się ze zdjęć słynnego fotografa Solidarności Pawła Glanerta. Autorami wystawy są: dr Adam Chmielecki, dyrektor operacyjny Fundacji Promocji Solidarności, oraz Małgorzata Lewicka-Koniak, grafik „Tygodnika Solidarność”.

Twarze konkretnych ludzi

W wernisażu wzięli udział m.in. autor fotografii Paweł Glanert, autor wystawy dr Adam Chmielecki, prezes Fundacji Promocji Solidarności Michał Ossowski oraz przewodniczący Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność” Krzysztof Dośla. Przybyli także działacze podziemia antykomunistycznego, świadkowie i uczestnicy wydarzeń z roku 1981.

Słowo wstępne do przybyłych gości skierował prezes Fundacji Promocji Solidarności Michał Ossowski, który powitał ich w historycznym miejscu Stoczni Gdańskiej. O idei wystawy oraz o historii I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” opowiedział autor i pomysłodawca projektu, dyrektor operacyjny Fundacji Promocji Solidarności, dr Adam Chmielecki. – Naszą wystawą chcemy podkreślić rolę fotografów Solidarności, którzy dzięki swojej pasji, talentom i odwadze dokumentowali działalność Związku. To dzięki nim historia Solidarności została utrwalona w zapisie fotograficznym, a najważniejsze wydarzenia mają twarze konkretnych ludzi – powiedział. Dodał, że autorzy graficznej szaty ekspozycji Małgorzata Lewicka-Koniak oraz Jakub Paulus nadali zdjęciom

eprasa.pl 08cfe9cbca

Pawła Glanerta nowe oblicze dzięki ich koloryzacji, pozwalając widzowi na łatwiejsze wyobrażenie sobie wydarzeń z początku lat 80. we współczesnych realiach.

Samorządna Rzeczpospolita

Pierwszy Krajowy Zjazd był momentem, kiedy Solidarność przyjęła swój program „Samorządna Rzeczpospolita", przyjęła także wiele bardzo ważnych dokumentów, jak np. „Posłanie do ludzi pracy Europy Środkowo-Wschodniej", wybrała swoje władze, a także potwierdziła chrześcijański charakter organizacji. W bardzo wielu przyjętych wówczas dokumentach powoływano się na naukę społeczną Kościoła katolickiego oraz na nauczanie Jana Pawła II – przypomniał dr Adam Chmielecki.

Autor wystawy zaznaczył, że na I Krajowym Zjeździe Delegatów byli licznie reprezentowani goście z zagranicy z obu stron żelaznej kurtyny, a Zjazd odbywał się pod czujnym okiem Służby Bezpieczeństwa, która nie tylko inwigilowała obecnych, ale także starała się wpływać na sam przebieg wydarzenia. – Te wszystkie aspekty Zjazdu staraliśmy się pokazać na naszej wystawie – wskazał.

Dr Chmielecki powiedział, że Solidarność była pierwszym wyłomem w bloku totalitarnym państw Europy Środkowo-Wschodniej, pierwszą przestrzenią wolności. I Krajowy Zjazd Delegatów był niezwykle ważnym wydarzeniem w historii Związku, do którego należało wówczas 10 milionów ludzi. Była to przestrzeń wolnej wypowiedzi, szczerej dyskusji. Solidarność była nie tylko związkiem zawodowym, ale przede wszystkim wspólnotą ludzi, których połączyły wspólne wartości, organizacją prawdziwie oddolną, autentyczną i żywą – stwierdził.

Autor zdjęć, legendarny fotograf Solidarności Paweł Glanert przyznał, że nie planował „kariery" dokumentalisty, a jednak w tę właśnie stronę skierował go bieg życia. Opowiedział zgromadzonym uczestnikom wernisażu o swojej drodze do odkrycia w sobie żyłki artysty fotografa, a także o trudnościach związanych z robieniem zdjęć w PRL-u, które dotyczyły nie tylko kwestii zaopatrzenia w materiały fotograficzne, ale przede wszystkim represji ze strony totalitarnych władz, którym nie w smak było dokumentowanie prawdy o rzeczywistości.

Nie uronić ani minuty

O atmosferze przygotowań do I Krajowego Zjazdu Delegatów opowiedział szef Gdańskiego Regionu Solidarności Krzysztof Dośla. – Przed krajowym zjazdem odbywały się wybory w organizacjach zakładowych, a następnie w regionach. Bywały takie dni, że obrady trwały praktycznie non stop, w nocy się odbywały wybory, ludzie spali w Teatrze Muzycznym i byli budzeni, gdy trzeba było głosować. Panowała taka atmosfera, że nikt nie chciał ani minuty, ani godziny opuścić tego, co się działo, tak było to wszystko ważne – wspominał.

> ***To dzięki takim ludziom jak Paweł Glanert historia Solidarności została utrwalona w zapisie fotograficznym, a najważniejsze wydarzenia mają twarze konkretnych ludzi.***
>
> **dr ADAM CHMIELECKI**

– I Krajowy Zjazd Delegatów był taką enklawą wolności w jeszcze zniewolonym państwie, ale już w wolnym narodzie. Ta świadomość wolności gdzieś tam już funkcjonowała. Najpierw wizyta Ojca Świętego, która była jak powiew świeżego powietrza, a potem Sierpień sprawiły, że uwierzyliśmy, iż można zmienić Polskę, że mamy wpływ na naszą rzeczywistość – dodał.

Jednym z gości wystawy była Barbara Polakowska, córka Eugeniusza Myczki, uczestnika I Krajowego Zjazdu Delegatów Regionu Gdańskiego, która z dużym wzruszeniem opowiedziała o tym, jak dzielnym, konsekwentnym w działaniu, a zarazem jak ogromnie skromnym człowiekiem był jej ojciec, który walce o wolną Polskę poświęcił całe swoje życie.

Eugeniusz Myczka zapisał się w historii Sierpnia '80 przede wszystkim jako założyciel i wykładowca Wszechnicy Związkowej. Było to miejsce edukacji stworzone specjalnie dla strajkujących robotników i tworzących się struktur NSZZ „Solidarność", gdzie dr Myczka prowadził dla nich fundamentalne wykłady m.in. z zakresu prawa pracy oraz katolickiej nauki społecznej. Jako sekretarz Komitetu Episkopatu ds. Iustitia et Pax oraz zaufana osoba Kurii brał udział w konsultacjach wokół postulatów. Strona kościelna (w tym prymas Stefan Wyszyński) analizowała m.in. postulaty dotyczące spraw religijnych, takie jak żądanie transmisji Mszy Świętej w radiu (postulat nr 3). – Bardzo cieszę się, że uczestniczę w otwarciu tej wystawy, w tym właśnie miejscu i że – choć mojego taty nie ma już z nami – mogę kultywować pamięć o nim oraz o wartościach, którymi żył i które nam przekazał – podkreśliła w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Barbara Polakowska.

eprasa.pl 08cfe9cbca

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Solidarność niezmiennie dyżuruje przed Trybunałem Konstytucyjnym. Dyżurują również przedstawiciele innych organizacji patriotycznych. My cofamy się do końcówki września tego roku, kiedy powstało miasteczko przed TK.

Tomek: – To dokładnie 26 września, a na zdjęciu wśród innych osób siedzi Adam Borowski, jeden z inicjatorów obrony Trybunału Konstytucyjnego.

– Pan bywa pod Trybunałem kilka razy w tygodniu. Jest Pan świadkiem odwiedzin miasteczka przez wiele osób, również tych znanych.

– Uchwyciłem na zdjęciach m.in. Mariusza Błaszczaka, Mariusza Goska, Mariusza Kamińskiego, sędziego Piotra Schaba oraz Adriana Stanowskiego. Codziennie pojawia się tam wiele osób. Niektóre przychodzą tylko na chwilę, inne zostają na wiele godzin albo nocują. Przeważnie mówią, że nie odpuszczą, dopóki sytuacja wokół Trybunału się nie ustabilizuje.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 08cfe9cbca

PRAWO

ZWOLNIENIE PRZEZ SMS I PRACA PO GODZINACH.
Gdzie kończy się władza szefa?

Dostałem SMS od szefa, że od jutra mam nie przychodzić do pracy. Zdarza się też, że po zakończeniu zmiany dostaję kolejne wiadomości z poleceniami, na które **przełożony oczekuje natychmiastowej odpowiedzi**. Czy pracodawca może zwolnić mnie przez telefon albo SMS? I czy muszę być do jego dyspozycji również wtedy, gdy formalnie mam już wolne?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Wbrew pozorom nie są to wyłącznie problemy związane ze złymi relacjami w pracy. Prawo określa zarówno zasady rozwiązywania umów o pracę, jak i granice poleceń wydawanych przez pracodawcę. Nie oznacza to jednak, że każda czynność wykonana niezgodnie z formalnymi wymogami jest automatycznie nieważna. Zacznijmy od zwolnienia przez SMS. Kodeks pracy przewiduje, że oświadczenie o wypowiedzeniu lub rozwiązaniu umowy o pracę powinno nastąpić na piśmie. Zwykła wiadomość tekstowa nie spełnia wymogu formy pisemnej. Nie oznacza to jednak, że pracodawca może po prostu wysłać SMS, a pracownik powinien uznać sprawę za niebyłą. Jeżeli z wiadomości jednoznacznie wynika wola rozwiązania umowy, takie oświadczenie może wywołać skutki prawne, mimo że zostało złożone z naruszeniem wymaganej formy. Pracownik może wówczas dochodzić swoich praw przed sądem pracy. W przypadku wypowiedzenia umowy o pracę zawartej na czas określony lub nieokreślony pracodawca musi również wskazać przyczynę uzasadniającą wypowiedzenie. Powinien ponadto pouczyć pracownika o prawie odwołania do sądu pracy. Sam SMS nie pozbawia więc pracownika możliwości zakwestionowania decyzji szefa. Co ważne, na wniesienie odwołania od wypowiedzenia do sądu pracy zasadniczo jest 21 dni od doręczenia pisma wypowiadającego umowę. Dlatego nawet jeżeli sposób zwolnienia wydaje się nieprawidłowy, nie warto ignorować sprawy ani odkładać reakcji.

Co z pracą po godzinach? Tutaj również nie wszystko zależy od decyzji przełożonego. Pracodawca może polecić pracę w godzinach nadliczbowych, między innymi w razie szczególnych potrzeb zakładu pracy albo konieczności usunięcia awarii. Nie oznacza to jednak, że nadgodziny mogą stać się codzienną normą bez żadnych ograniczeń. Przepisy określają limity czasu pracy i wymagają zapewnienia pracownikowi co do zasady co najmniej 11 godzin nieprzerwanego odpoczynku na dobę oraz 35 godzin w tygodniu. Samo otrzymanie wiadomości od szefa po zakończeniu zmiany nie oznacza jeszcze, że pracownik wykonuje pracę w godzinach nadliczbowych. Znaczenie ma to, czy rzeczywiście realizuje polecenia służbowe, pozostaje w dyspozycji pracodawcy lub wykonuje obowiązki poza ustalonym czasem pracy. Jeżeli regularnie przygotowuje raporty wieczorami, odpowiada na służbowe wiadomości albo wykonuje dodatkowe zadania, taki czas może wymagać rozliczenia zgodnie z przepisami.

Nie każda wiadomość wysłana po pracy wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Warto jednak pamiętać, że w niektórych zawodach i sytuacjach mogą obowiązywać szczególne zasady dyspozycyjności. Istotne jest to, czy wynikają one z przepisów, organizacji pracy i rzeczywistych obowiązków pracownika, a nie wyłącznie z oczekiwania przełożonego.

Granica jest więc dość prosta: pracodawca ma prawo organizować pracę i wydawać zgodne z prawem polecenia, ale nie może dowolnie pomijać przepisów o rozwiązywaniu umów, czasie pracy i odpoczynku. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 08cfe9cbca

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Chcę..., s. 44), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Magdalena Okraska (Żałoba, s. 7), publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha!art) w roku 2022.

Piotr Skwieciński (Suwerenność..., s. 33), jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

Tomasz Winiarski (Akredytacja..., s. 40), dziennikarz od spraw amerykańskich, korespondent telewizyjny i radiowy. Współprowadzący kanał „(Nie)Poprawny Dyplomata".

Jan Wróbel (Rządy..., s. 51), jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

Agnieszka Żurek (Jak owce..., s. 60), z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2027 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 08cfe9cbca

PRENUMERATA 2027

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENYMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (**koszt wysyłki ponosi wydawca**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych sieci Empik.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2027 roku wyniesie **9,90 zł.**

Cena jednego egzemplarza „Tygodnika Solidarność” w prenumeracie wraz z wysyłką w 2027 roku wynosi tylko **9,90 zł**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2027 ROK

I KWARTAŁ	**128,70 zł***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**257,40 zł**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**118,80 zł**	(NUMERY 40–51/52)
II PÓŁROCZE	**247,50 zł**	(NUMERY 26–51/52)
ROK	**504,90 zł**	(NUMERY 1–51/52)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl 08cfe9cbca



ZBIERAMY PODPISY

pod wnioskiem o referendum w sprawie Zielonego Ładu

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 08cfe9cbca